

100

COCONAUT®

Orzeźwienie z samego serca natury!

Najsmaczniejsza woda kokosowa
i naturalny izotonik w jednym



ZESKANUJ KOD QR

Użyj kodu rabatowego **FRESHMAG15**
i zamów 15% taniej!





Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

Mamy grudzień 2009 roku. Jest sobotni wieczór, a w klubie Czytelnia odbywa się impreza Funks Not Dead. Za deckami DJ Kangur, a na parkiecie utwór „Creep” zespołu TLC. Przy jednym ze stolików toczy się zażarta dyskusja dwóch, świeżo upieczonych absolwentów dziennikarstwa. Dywagują nad tym, dlaczego w takim mieście jak Poznań nie ma żadnego darmowego magazynu miejskiego, który mógłby zainteresować ludzi, takich jak oni. Wówczas w lokalach można było znaleźć czasopisma *Hot Magazine* czy *Aktivist*. Pierwszy tytuł był ze Szczecina, ale wydawano go również w Poznaniu, a drugi z Warszawy i zawsze miał kilka stron związanych z lokalnymi wydarzeniami. To nie było jednak to, co chcieliby czytać i z czym mogliby się utożsamiać. Było tyle ciekawych tematów i ludzi, o których nikt nigdy nie napisał w prasie. Właśnie wtedy zapadła ważna decyzja, że chcą stworzyć coś własnego, unikalnego, dla siebie i poznaniaków. Wprawdzie mieli w CV już praktyki i różne prace redakcyjne i niby wiedzieli jak to wygląda od kuchni, jednak to było zupełnie coś innego. Skok na głęboką wodę to mało powiedziane. Jednym z tych wariatów byłem ja, a drugim był Bartek Nowacki, który został też pierwszym redaktorem naczelnym Freshmaga. Jako szanowani politolodzy pracowaliśmy oczywiście w zawodach zupełnie niezwiązanych z naszym wykształceniem, ale mieliśmy dzięki temu za co żyć i co odłożyć do skarbonki. Z tej skarbonki i małej pomocy banku skorzystaliśmy. Mieliśmy jakiś know how, żeby to ruszyć, a miasto stało przed nami otworem. Pierwsza nazwa magazynu? Fama. Przetrwała tylko tydzień, kosztem drugiej, którą już dobrze znacie. Siadło i tak już zostało. Dnia 4 listopada 2010 roku ukazał się pierwszy numer Freshmaga. Można by postawić tu kropkę i napisać, że reszta to historia – jednak jeszcze nie teraz. Po 2 latach dołączył do nas Michał Krupski, który zajął się sprzedażą reklam. Mocno wkręcił się również w sprawy redakcyjne i zaczął tworzyć swoje materiały. W następnym roku został współwydawcą i przejął obowiązki Bartka, który odszedł z redakcji i poświęcił się innemu projektowi. Dołączył kolejny wariat i tak do dzisiaj ciągniemy ten wózek. Wózek, który pomagało nam zawsze pchać wiele osób, bez których nie byłoby Freshmaga. Nie jestem w stanie wszystkich tu wymienić, bo nie wystarczyłoby miejsca, ale wiedźcie, że pamiętam każdego z Was. Nawet osoby, które napisały pojedyncze teksty. Niektórzy z Was dzisiaj pracują w większych wydawnictwach, portalach, radiu, telewizji, a nawet wydają książki. Jestem dumny, że pierwsze kroki stawialiście z nami i w CV macie Freshmaga. Dziękuję Wam wszystkim.

Dzisiaj trzymacie w rękach 100 numer. Musicie wiedzieć, że było wiele momentów zwątpienia – nieraz musieliśmy dokładać do interesu, żeby wyszedł druk. Kilka lat temu był punkt kulminacyjny, gdy Freshmag przestał się ukazywać. Dzisiaj jesteśmy w momencie, w który w sumie nie wierzyłem. To była długa droga. Oby trwała jak najdłużej.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

WYDAWCA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

WYDAWCA:

Craft sp. z o.o.
ul. Książęca 1
61-361 Poznań

REKLAMA:

Michał Krupski
600 286 242
michal@freshmag.pl

WSPÓŁPRACA:

Sylvia Kłaczyńska
Natalia Bednarz
Zofia Myślicka
Paweł Niedzielski
Izabela Kowalska
Maciej Chomik
Dominika Majewska
Karolina Sierszulska

Rafał Szaroleta

Julia Lipowicz
Eskær
Dorota Piechocińska ilustracja
Adam Szulc
Kuba Smogur (Mentalcut)
Karolina Bachorowicz (Grażyna Biedroń)
Aleksandra Łodzińska
Noriaki

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

Dawid Balcerek

Artysta niezależny

Wywiad z Grabażem

4

Gdzie znaleźć jazz w Poznaniu?

Vibe, improwizacja i energia

20

Fresh Art: Koza One

Prawie trzy dekady z puszką w ręce

34

Wywiad z Renatą Kupsch

Trendwatcherka i ekspertka w zakresie zarządzania w sektorach mody oraz prognozowania trendów

44

Jubileusz Joany

DJ-ka świętuje 20-lecie za deckami i 10-lecie klubu Tama

54

**DonGURALesko i jego „Atlas”**

Rapowy wieszcz i legenda polskiej sceny hip-hopowej

14

Jacek Mójta – fotograf koncertowy

Rozmowa z osobą, która widzi koncerty inaczej niż wszyscy

26

Fryzjerstwo i hardcore

Adam Szulc w felietonie o fryzjerstwie i poznańskiej scenie hardcore'owej

40

Z kortu na forum

Wywiad z Magdą Linette

48

U progu rewolucji klubowej

Felietonista Mentalcut i jego spostrzeżenia na temat sceny klubowej

62

Realia pracy DJ-a
Grażyna Biedroń w autorskim tekście
obala klubowe mity

66

Jazz latem i jesienią
Klub Blue Note

74

Ludzie i historie
Nowy sezon w Teatrze Nowym

80

Gastronomiczna pasja i biznes
Rozmowa z szefami kuchni,
którzy kreują polski rynek

88

Fundacja Czas Kobiet
Ekspercka organizacja pomagająca
kobietom doświadczającym przemocy

98

Estrada w Centrum
Miejski projekt lata w mieście

70

BitterSweet Festival
Poznań w końcu doczekał się dużego
festiwalu z międzynarodowym line-upem

76

Z Wietnamu do Poznania
Coconaut – marka, która podbija
polski rynek

84

Śniadaniowa uczta z przyjaciółmi
Bajzel na każde kulinarne podniebienie

96

Wywiad z Panem Przygodą
Rozmowa z podróżnikiem, edukatorem
i ratownikiem dzikich zwierząt

102

„Jestem artystą niezależnym”

Krzysztof Grabowski – Grabaż

Rozmawiał: **Michał Krupski**



fot. Maciej Chomik



Jeśli ktoś spoza Wielkopolski miałby wymienić pięciu najbardziej znanych poznaniaków, zapewne większość wskazałaby Krzysztofa Grabowskiego. Z Grabążem chciałem już porozmawiać przy okazji organizacji charytatywnego koncertu w Klubie u Bazyla, który współorganizowaliśmy jako Freshmag trzy lata temu. Wtedy plany pokrzyżował koronawirus. Teraz, po czasie, udało nam się spotkać w pięknej scenerii Portu Sołacz. Skupiliśmy się na Wielkopolsce, bo Krzysztof jest z nią mocno związany – zarówno z Poznaniem, jak i z Piłą.

Na początek zapytam: jak tam zdrowko? Ostatnio trochę pobiegałeś po szpitalach.

Pobiegałem w zeszłym roku. Jest lepiej, ale jeszcze nie jest do końca dobrze. W tym wieku już nie będzie nigdy lepiej, także wiesz... Mam już 60 lat i zawsze byłem kruchego zdrowia, więc staram się jak mogę, żeby być w formie.

Twoja kondycja nie przeszkadza Ci w czynnym życiu muzyka?

Nawet wcześniej nie przeszkadzała tak bardzo, mimo że na scenie byłem bardzo słaby. Ale wiesz, na tej scenie zawsze jest podjarka. Dostajesz dodatkowej adrenaliny i kopa w dupę, który cię utrzyma na deskach. Kiedyś bywało gorzej, jeszcze w tej dekadzie.



Jesteś poznaniakiem z krwi i kości, ale to Piła cię wychowała. Jakie masz dzisiaj relacje z tym miastem?

Moi rodzice tam mieszkają. Mamy tam studio, magazyn sprzętu, salę prób, więc do tzw. klasycznej roboty jadę do Piły. Poza tym większość muzyków, z którymi współpracuję, mieszka w Pile. Można powiedzieć, że to centrum naszych działań. Jak jadę do pracy – to do Piły.

Czyli spędzasz tam dużą część roku?

To zależy. Jak jest sezon koncertowy, to nie przebywam. Ale jak trzeba coś nowego zrobić, przypomnieć stare kawałki, zmienić program – to wtedy jedziemy do Piły.

Piła to trochę peryferia Wielkopolski. Mało kto o niej mówi.

Są tacy, którzy twierdzą, że to już Pomorze. No ale Piła jest w Wielkopolsce i warto to podkreślać.

To jak można by ją zareklamować, zachęcić do odwiedzin?

To może być problem. (śmiech) Piła to miasto dzielnych ludzi, którzy nie dają się przeciwnościom losu i starają się żyć godnie. To mnie tam najbardziej ujęło. Ale wiesz, wszystko co ludzi jakoś jednoczyło, przestało istnieć. Nie ma fabryki żarówek, nie ma ZNTK. Transformacja źle na Piłę zadziałała. Nie była szansą, tylko początkiem stagnacji.

Ale turystycznie Piła też ma coś do zaoferowania.

Nawet trzy jeziora są. Ale co z tego, skoro ich zagospodarowanie nie jest w żaden sposób aspirujące do nowoczesności. Temu miastu wyraźnie brakuje kopa w dupę oraz solidnej inspiracji i realizacji nowych inwestycji.

Czyli według Ciebie miasto jest źle zarządzane?

Tego nie mogę powiedzieć, bo tam nie mieszkam na stałe. Są ludzie, którzy są zadowoleni z władz miasta i wybierają ich co roku. Ale mogę powiedzieć, że Piła ma fajne miejsca, jak np. Wyspa. Lubię tam grać, bo na koncerty przychodzi całe miasto. Kiedyś miałem marzenie, żeby chociaż raz wyjść na scenę, żeby ktoś mnie zobaczył. Teraz, jak gramy w Pile, to tysiące ludzi przychodzi i to jest fajne. Na przykład na koncercie Strachy na Lachy na stadionie było spokojnie z 10 tysięcy osób.

Piła miała i ma spory wpływ na muzykę alternatywną i punkrockową. Powstały tam takie zespoły jak Inri, Alians, Na Górze czy Qulturka. Znasz ich osobiście?

Oczywiście. Wszyscy to kumple z Piły. Z zespołem INRI i Na Górze dzielimy salkę prób.

Polecisz kogoś jeszcze z Piły do posłuchania? Może coś świeżego?

Nie, bo nie jestem dziennikarzem muzycznym już od ośmiu lat i nie znam nowych zespołów. Przestałem to śledzić. Zniknęła

we mnie motywacją do słuchania muzyki zawodowo i stałem się takim zgorzkniałym słuchaczem. Mogę teraz powiedzieć: „za naszych czasów to była muza...” (śmiej)

Rzeczywiście często się słyszy: „kiedyś to było”. A moim zdaniem jest odwrotnie – dobrej muzyki jest teraz mnóstwo, tylko trudno ją ogarnąć.

Dokładnie tak jak mówisz. Jeżdżąc autem po Poznaniu, słucham Afery. Tam liczba tych polskich wykonawców, którzy pojawili się ostatnimi czasy, jest absurdalna. Samych dziewczyn śpiewających tak samo i o tym samym jest chyba z pięćdziesiąt. Do tego masa młodych zespołów. Kiedyś było łatwiej, bo Afera pisała na wyświetlaczu, kto wykonuje dany utwór. Teraz muszę się wspomagać Shazamem.

Zaczynałeś jako punkowiec, ale w międzyczasie porzuciłeś „legitymację”. Nadal masz punk rocka w sercu?

Muzycznie może mniej, ale światopoglądowo na pewno. Punkowcem zostałem w '82 roku, kiedy pojechałem pierwszy raz na Jarocin. Najbardziej utkwił mi w pamięci koncert SS-20, który później zmienił nazwę na Dezerter. To był dla mnie szok. Na początku zwróciłem na nich uwagę, bo perkusista z tego zespołu nazywa się dokładnie tak samo jak ja. Ale później, jak usłyszałem, o czym śpiewają, to było cudowne przebudzenie. Pojechałem wtedy na koncert TSA, a wróciłem jako punkowiec. Ogólne założenia tego ruchu pasowały do mojej konstrukcji psychicznej. Wszedłem w to z miejsca. W tamtych czasach środowisko punkowe było na fali. Każde miasto miało swoje zespoły, które unikały oficjalnych mediów. Doskonale się w tym odnalazłem i do dziś jestem artystą niezależnym. Dobrze się z tym czuję.

Wracasz czasem do Jarocina?

Rok temu tam graliśmy. To festiwal, w którym młodość spotyka się z nostalgią. Jarocin to coś zupełnie innego niż kiedyś. Ale wiesz, dwa razy do tej samej rzeki się nie wchodzi. Nawet jak wejdiesz drugi raz do Warty, to już nie jest ta sama rzeka.

Pamiętam, że przy reaktywacji Jarocina były głosy o bojkot. Ale przecież on nigdy nie był stricte punkowy.

Dokładnie. Zespoły punkowe po prostu najwięcej tam robiły, może dlatego przylgnęła taka łatka. Najsłynniejszy Jarocin z '84 roku to była mieszanka punk rocka, reggae, metalu, nowej fali i rodzącej się alternatywy. Mnóstwo gatunków, mnóstwo artystów.

Czy Woodstock był spadkobiercą tej formuły festiwalowej?

Nie. Na Woodstock, czy teraz Pol'and'Rock, ludzie jeżdżą głównie po to, żeby się spotkać. Na Jarocin jeździło się słuchać muzyki. Dla mnie festiwal Jerzego to fajne miejsce, gdzie ludzie dobrze się ze sobą czują, ale muzyka jest tam tylko dodatkiem.

A czy jest dziś coś, co można by porównać do Jarocina?

Nie ma takiego festiwalu.

A Rock na Bagnie w Goniądzu?

RNB to fajny, około rockowy festiwal z mocnym akcentem na punk. Ale jest malutki. Jarocin i Goniądz to zupełnie inne skale. Ale w obu grało mi się świetnie, bo była dobra publiczność. A to dla mnie najważniejsze.

W wielu wywiadach wspominałeś, jaki wpływ miała na Ciebie brytyjska muzyka. A co z muzyką poznańską? Miała na Ciebie jakiś wpływ?

Żaden. Nigdy nie było w Poznaniu wykonawcy, którym bym się inspirował. Mam dużo kumpli w Poznaniu w różnych kapelach i podoba mi się, jak grają – ale to pewnie dlatego, że to właśnie kumple.

Gdzie w Poznaniu dobrze gra się koncerty?

W Tamie. Doskonałym miejscem jest też Sala Ziemi, ale jest zajęta na kilka lat do przodu, szczególnie w weekendy. Kiedyś dobrze grało mi się w Blue Note, który jest mniejszym lokalem, ale specyficznym.

Po remoncie jest to naprawdę świetne miejsce.



fot. Magda Zając

Po remoncie jeszcze nie byłem. Tam zawsze pamiętam, że były logistyczne problemy typu: co zrobić z fortepianem... Zajmował dużo miejsca i był problem. Mam nadzieję, że zniknął wraz z remontem. (śmiej)

Są jeszcze 2progi – z tych większych lokali, które pomieszczą ok. 700 osób.

Nigdy tam nie grałem, ale byłem gościem na koncercie. Wydaje mi się, że to mniejszy lokal niż Tama, która ma wyporność ok. 900 osób. Ale jeśli mówisz, że wejdzie tam tyle osób, to mamy dwie całkiem spore sale klubowe w Poznaniu.

Czy w 2025 roku są nadal miejsca w mieście, po których nie warto się pałętać?

Stary Rynek – bo w ryj można dostać. Ja osobiście nie pałętałem się już wieczorami po mieście. Nie warto kusić losu. (śmiej)

Poznań przez ostatnie lata przeszedł spore zmiany. Są one zauważalne na tle innych miast?

Wszystko dzieje się jednostajnym, przyspieszonym tempem. Nie ma tu żadnych rewolucji. Wszystko powoli ewoluuje.

Wyobraźmy sobie, że zostajesz przez kogoś zmuszony do bycia prezydentem miasta przez rok. Jakie zmiany byś wprowadził?

Po pierwsze: sala koncertowa z prawdziwego zdarzenia. Taka, która pomieściłaby pięć tysięcy osób, ale skonstruowana tak, żeby przy trzech tysiącach też wyglądało na full. Większość miast już taką salę ma – my nie. Mamy MTP, ale te sale nie nadają się do grania. Kiedyś, jak graliśmy na MTP2, agencja Go Ahead stawiała na głowie, żeby ją wygłuszyć – ale niewiele to dawało. Sala koncertowa powinna być skonstruowana specjalnie pod muzykę.

Czyli nie mówimy tu też o Arenie...

Nie, Arena też nie jest koncertowa. To miejsce bezduszne do grania koncertów. Nigdy tam nie czułem więzi z publicznością

„ Punkowcem zostałem w ‘82 roku, kiedy pojechałem pierwszy raz na Jarocin ”

A to ważne – widzieć ludzi, łykać ich energię i móc łatwiej przekazać swoją. W Arenie zawsze był jakiś bufor. Światło gorzej działało, nie było widać publiczności. Ciężko się tam grało.

Przydałby się nam amfiteatr?

Tak, na pewno. Ale trochę tych miejsc do grania w plenerze jednak jest. Jest Polana Harcerza, lotnisko, gdzie odbywa się Rockowizna Festiwal. Jest też Cytadela – ale jej szkoda, bo grozi zadeptaniem. Poza tym, pamiętaj, że na Cytadeli ciągle jest amfiteatr – szkoda, że nie ma już szans na jego odbudowę.

Coś jeszcze byś zrobił przez ten rok jako prezydent?

Wybudowałbym szpital – lepszy od tego na Lutyckiej. Brak odpowiedniej liczby placówek służby zdrowia w naszym mieście to dramat. Niby mają tam powiększyć SOR i rozbudować szpital, ale wszystko idzie zbyt wolno. I to w całym mieście.

Spotykamy się trzy dni po zdobyciu Mistrzostwa Polski przez Lecha, którego – jak powszechnie wiadomo – jesteś kibicem. Myślisz, że klub zmierza organizacyjnie w dobrym kierunku? Będzie Liga Mistrzów?

Tego nie wie nikt, bo to jest piłka nożna – a ta, szczególnie w wykonaniu Lecha, jest nieprzewidywalna. Ci zawodnicy mogą pokonać dużo lepszych od siebie i odpaść z jakąś Trnavą. Ale jeśli zdobyliśmy mistrza, to znaczy, że rozwój jest dobry. W ekstraklasie ten tytuł jest bardzo trudno zdobyć. Wielu kumpli z całego kraju pisało mi gratulacje – cieszę się z tego i jestem dumny. Kibicuję Lechowi od 1972 roku. Kurde, to już ponad 50 lat! Wiem, jak cenne to mistrzostwo jest dla Wielkopolan i bardzo je szanuję.

W Poznaniu to naprawdę duże wydarzenie.

Tak, u nas to nie dzieje się co roku, więc trzeba to szanować. Ale jest też sporo rzeczy, które mi się nie podobają – np. kadra sportowa. Mamy zawodników, których nie powinniśmy mieć, a oni grają. I to regularnie.

Wiele osób zarzuca włodarzom klubu – tym z Amiki – że są minimalistami. Ale od 2010 roku mamy cztery mistrzostwa w 15 lat. To drugi najlepszy okres po złotej dekadzie.

Trzeba zacząć od tego, że gdyby nie Amica, to nie byłoby Lecha. Nawet Kulczykowicie nie zdecydowali się pomóc klubowi, a zdecydowali się „Kuchenkorze” z Wronek. W momencie, gdy oni wchodziłi, Lech płonął. A jak ci się dom pali, to nie pytasz strażaków, jak się nazywają, tylko każesz im gasić i odbudować. Amikowcy to zrobili. Jasne, zarządzają inaczej niż poprzednicy. Ja zawsze kumpłowałem się z MLS-em (Majchrzak, Lipczyński, Sołtys – przyp. red.) i ten czas był mi najbliższy, bo byłem blisko drużyny. To się skończyło z wejściem Amiki, ale cieszę się, że pchają ten wózek. Popelnili sporo głupot, ale ciągle idą do przodu.

Piłka nożna to jednak sport. Tu wszystko może się wydarzyć.

No właśnie. Gdyby nie rogal Golizadeha na Łazienkowskiej, nie byłoby mistrza. Gdyby Gonzalez nie wykopał piłki spod bramki w meczu z Piastem – byłby dramat. Tego się nie da zaplanować, to żywioł. A żywioł, wiadomo – jest nieobliczalny.

Kończąc poznański wątek – jakie są Twoje ulubione miejsca w mieście? Gdzie zabierasz gości spoza Poznania?

Jeśli miałbym gdzieś zabrać znajomych, to do ZOO. Lubię tam spędzać czas. Ale ogólnie to nie lubię spacerować. Mieszkam blisko Cytadeli, więc jak już się ruszam, to właśnie tam. Nie chodzę po knajpach.

A z czego to wynika?

Nie słyszę na jedno ucho. W knajpach gra muzyka, jest tłoczno i głośno. Nie jestem w stanie zrozumieć interlokutora. Więc jak już w takiej knajpie jestem, to zwykle siedzę i mówię „tak, tak, tak...”

„ **Kiedyś miałem marzenie, żeby chociaż raz wyjść na scenę, żeby ktoś mnie zobaczył** ”

Pidżama Porno i Strachy na Lachy przeżywają drugą młodość? Patrząc na frekwencję koncertową, można odnieść takie wrażenie.

Tak, wrażenie jest prawdziwe, ale nie robimy nic więcej niż wcześniej.

Może nowa płyta miała na to wpływ?

Myślę, że tak. Przyciąga mocno młode pokolenie. Mieliliśmy długą przerwę z młodą publiką – przychodzili ludzie w naszym wieku. Też było ich dużo, ale teraz na każdym koncercie jest pogo, są ludzie 16–17-letni, którzy jeżdżą za nami od miasta do miasta. Śpiewają nowe piosenki, to dla nich aktualna rzeczywistość.

Rzeczywiście, na koncertach punkrockowych jest ostatnio sporo młodych ludzi.

Jeszcze niedawno wydawało się, że to wszystko umiera, że młodzi słuchają tylko hip-hopu. A tu się okazuje, że słuchają też nas. Chwała im, chwała nam!

Dziś jest trend: muzycy rozwiązują zespoły, idą w solówki, potem wracają. Hey, Coma, TSA... Rozważasz karierę solową?

Nie, nie, nie. Sam jestem za cienki, żeby sobie poradzić. Zawsze muszę mieć kumpli. Można powiedzieć, że Strachy to takie „przedłużenie” mojej solówki. Ale prawda jest taka, że jestem na tyle cienki instrumentalnie, że nie mogę grać i śpiewać

naraz. Potrafię pokazać utwór na gitarze w bardzo częstokowej wersji – funkcje, akordy i melodia – ale potem trzeba to wrzucić na zespół i przełożyć na jego język.

Nie czujesz potrzeby trzeciego projektu?

Nie, bo nie byłbym w stanie tego ogarnąć repertuarowo. Mam 60 lat, oba zespoły są aktywne, koncertują i zarabiają. Muszę dzielić między nie to, co piszę – a ostatnio nie piszę. Solowy projekt to nie dla mnie.

W obu zespołach sam jesteś menadżerem. Dlaczego to robisz osobiście?

Bo do tej pory nie znaleźliśmy nikogo, kto robiłby to lepiej niż ja. Nawet gdyby się ktoś taki znalazł, i tak z każdą duperełą musiałby przychodzić do mnie. A tak – to ja decyduję, gdzie gramy, jakie mamy przeloty, czy chce mi się jechać. Zajmuję się tylko bookowaniem i umowami. Mam ludzi, którzy pomagają z logistyką i techniką.

Jakie masz cele muzyczne na najbliższą przyszłość?

Najbliżej mamy wznowienie legendarnej płyty „Futurista” z 1990 roku. Wydamy ją na winylu, kompaktach i kasecie. Prawie 3 tysiące preorderów winyla – to jest zajebisty wynik, jak dla nas. A poza tym? Koncertować, koncertować, koncertować. My to nazywamy „cudem ziemi czarnej” – że możesz jeździć na koncerty i bawić się z ludźmi. To najfajniejsze w tej robocie.

Wyobrażasz sobie, że odstawiasz granie i wracasz np. do dziennikarstwa?

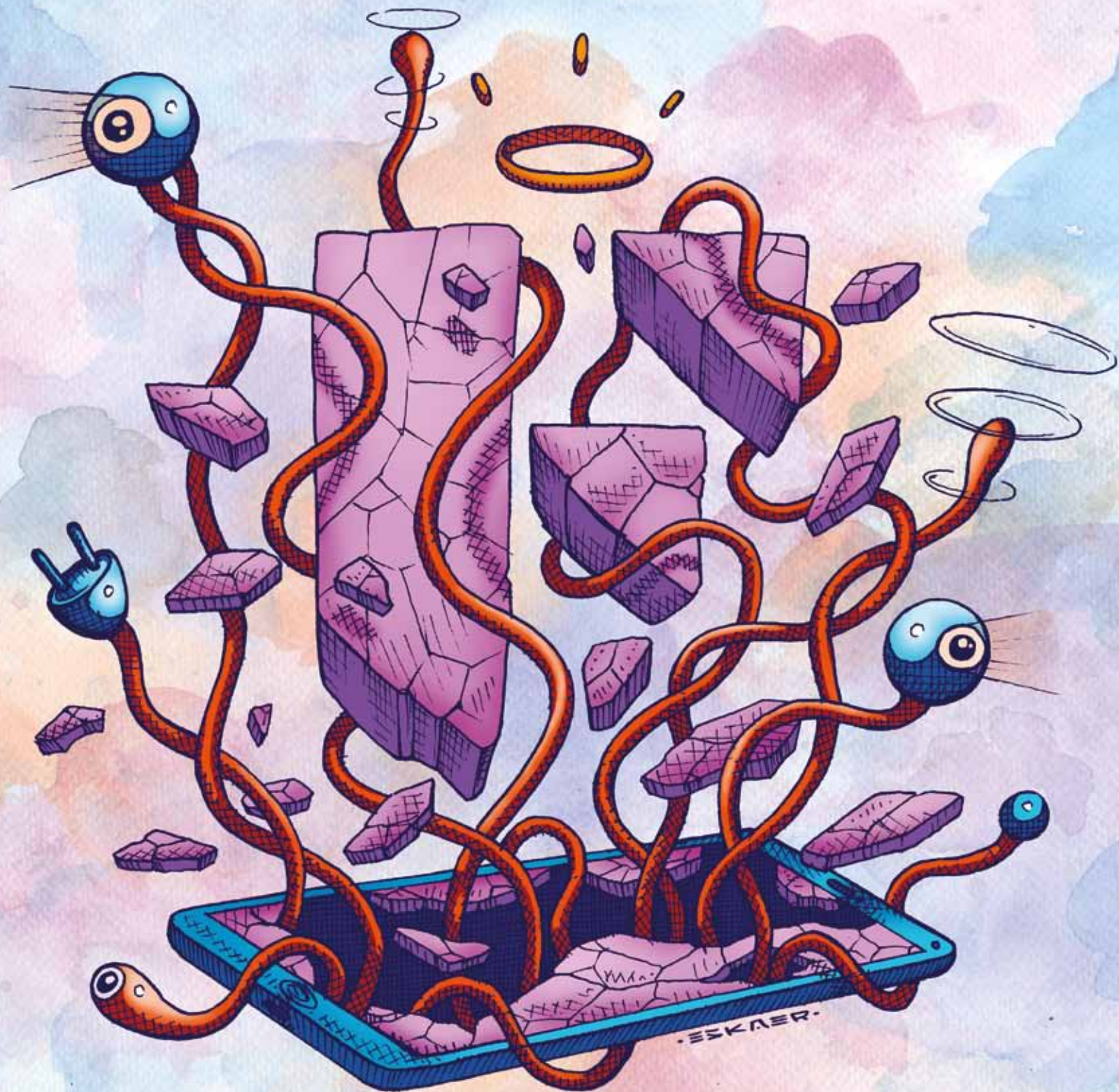
Nie ma takiej opcji. Dziennikarstwo to zawód wyjątkowo szybko ginący. Dziś dziennikarze nie pełnią tej roli co kiedyś. Wszystko się zmieniło. Papier ginie, wszystko przechodzi do sieci. Poza tym – musiałbym mocno obniżyć stopę życia.

Freshmag na papierze wychodzi od 15 lat i trzyma się dobrze. Ale to chyba z pasji.

No właśnie. Jak mnie zaprosiłeś na obiad, to pomyślałem, że nie będę cię obciążał – i zamówiłem sok. (śmiech)



fot. Maciej Chomik





PODRÓŻE PO KULTURZE: KIERUNEK ZACHÓD
08.07.2025 - 23.08.2025
LATOZESTRADA.POZNAN.PL



POZnań* ESTRADA
POZna
NSKA





„Śpiew ptaków to moja muzyka”

DonGURALesko

Rozmawiała: **Natalia Bednarz**

Zdjęcia: **Izabela Kowalska**

To nie był zwykły poranek... i to wcale nie dlatego, lub nie tylko dlatego, że z nowym prezydentem. Przed piątą jego dom nawiedził mały kataklizm, odbierając cenne godziny snu i energię. A jednak przyjechał – rowerem, jak gdyby nigdy nic, w nieśmiertelnych okularach słonecznych i z mnóstwem ciekawych rzeczy do powiedzenia. Rapowy wieszcz oraz legenda poznańskiej i polskiej sceny hip-hopowej – Donguralesko – czego słucha, skoro nie muzyki? Co teraz czyta? Skąd tytuł najnowszej płyty „Atlas”? Jak udaje mu się być na rap scenie już ponad trzy dekady? Przeczytajcie.

Jak tam poranek w nowej rzeczywistości?

Miałem z rana plaskacza większego niż Nawrocki. Budzę się o 4:30 – a śpię jak zając – i słyszę szum. Myślę, pociąg jedzie, bo niedaleko tory. Tylko coś długo jedzie ten pociąg... schodzę na dół, a tam pęknięta rura, zaparowane wszystko, bo to gorąca woda, jeszcze pod ciśnieniem. Ja pierdolę. Z dzieciakami i żoną sprzątnęliśmy, pojechałem do instalacyjnego, wymienilem wężyki. Wszystko schnie. Taka pierdoła, no ale ledwo żyję.

Słuchałeś po drodze jakiejs muzyki?

Nie zakładałem słuchawek na rower, bo jeżdżę przez las i słucham ptaków. Ja w ogóle bardzo mało muzyki słucham. Muzyka mnie wkurwia. (śmiech) Słucham bitów, głównie muzyki instrumentalnej, rapowej. Oczywiście, staram się być na bieżąco, czasem sprawdzam jakieś rzeczy. Wiem, że Big Noyd wydał nowy składak, że Xzibit i Lil Wayne wydali nowe albumy, mam je przesłuchane. Od marca do czerwca słucham ptaków. Tego lubię słuchać. To jest moja muzyka.

Nie będę udawać, że nie jestem ciekawa, co sądzisz o wczorajszych wyborach. Jakie są Twoje odczucia?

Było to do przewidzenia troszeczkę. Zazwyczaj te prawicowe polexity są niedoszacowane. Trzaskowski mówi po francusku i książki czyta. A to się nie podoba ludziom w tej chwili. Żyjemy w czasach anty elitarnych i ludziom się wydaje, że Nawrocki jest człowiekiem z ludu, nieumoczonym. Mnie się kojarzy to z ostatnią sceną mojego ulubionego serialu „Kariera Nikodema Dyzmy” z Romanem Wilhelmim w roli głównej – gdy tylko Żorż Ponimirski widzi, co się stało, i kiedy Nikodem Dyzma dostaje propozycję objęcia teki premiera państwa. No to się mniej więcej wydarzyło. Jak włączysz sobie nowego prezydenta w telewizorze i wyciszysz dźwięk, no to obrazek pasuje bardziej gdzieś do Tadżykistanu, Uzbekistanu. Przesuwa nas to na wschód. Coś to o nas mówi. Tacy jesteśmy. To, co wybieramy, też jest częścią nas. Wyrzodził się Nawrockiego i mamy. Natomiast good news są takie, że jest już tak chujowy, że teraz może być tylko lepszy. (śmiech) Startuje z dosyć niskiego pułapu, więc może się rozwinie, trochę ucywilizuje. Znałem gor-

sze przypadki. To jest tylko prezydent. Ale ludzie kultury będą mieli używanie, bo to dla nich jest zawsze żyzna gleba, jak jest zła władza. Tak że dla kultury to może i dobrze.

Twoja nowa płyta nazywa się „Atlas”. Mitologiczna symbolika, widoczna także na okładce, gdzie dźwigasz na plecach boomboxa, nasuwa się sama, słysząc ją w tekstach...

Jestem z pokolenia atlasów. Dziś rano na przykład poderwałem domowników krzykiem, jak bosman, do roboty. Wszyscy musieli tę wodę ściągać (śmiech). Jak wchodzę do jakiegoś pomieszczenia z rodziną, to sprawdzam od razu, gdzie są wyjścia ewakuacyjne i tak dalej. Teraz to się mówi, że jestem pierdolnięty, że mam jakiś syndrom atlasa właśnie (sposób przystosowania się do życia ludzi, którzy doświadczyli w przeszłości sytuacji trudnych i urazowych – i je udźwignęli – przyp.red.). Pokolenie atlasów jest czujne. Nosimy na plecach bagaż doświadczeń i czasów, kiedy wszystko nie było takie proste i zdefiniowane, jak dziś. Nie pochylaliśmy się nad swoją psychiką, tylko trzeba było sobie szybko radzić. Nie mówię bynajmniej, że to dobrze – tak po prostu jest. Nie chciałbym być tym Atlase, ale jestem, jaki jestem... i tyle. No i takich atlasów sporo jeszcze chodzi po świecie.

Atlas to także – dosłownie – zbiór w formie albumu. Czy nowa płyta to przemyślana kolekcja czy też zbiorowisko utworów, które, jak sam to nazywasz, kompulsywnie nasunęły Ci się na myśl?

Nie robię albumów pod tytuł – on pojawia się później. Siadam po prostu i robię płytę, nie wiadomo, co nagram tym razem. Nie są to na pewno płyty koncepcyjne. „Atlas” to tak, jak poprzednie, zbiór jakichś opowieści, dziwnych treści, które pojawiły się nagle w mojej głowie, i które w wyjątkowo, wręcz rekordowo krótkim czasie tym razem zostały nagrane. Pojechałem do studia trzy razy – dosłownie – i „Atlas” był gotowy. Taka szybka ekspresja to jest styl mojej pracy.

A jak z propozycjami reklamowymi? Nadal odrzucasz? Rozważasz?

Czasem się coś pojawia. Ale czy ja jestem dobrą twarzą do reklamy? Odrzuciłem trochę tam ofert reklamowych, bo to jakoś nie szło w parze ze mną. I tyle. A w przyszłości? Nie wiem. Może jakieś akcje społeczne? Reklamowałem różne fundacje i to były bardzo fajne współprace. Ja nie umiem tak pomagać sam z siebie, ale jak mnie zaprzęć do pracy, to mogę się do czegoś przydać. Natomiast większość rzeczy masowych, komercyjnych, jest po prostu chujowa. No bo co, jak reklamujesz bank, no to reklamujesz lichwę – ludzie się zapożyczają, działasz na ich szkodę. A jak reklamujesz, nie wiem, jakiś fast food, to reklamujesz gówno, które szkodzi ludziom. Jakby ktoś chciał zareklamować jakieś zdrowe cukierki, kurwa... ziołowe... to może bym mógł. (śmiej)

Kolejna płyta powstaje?

Nie. Teraz czas na odpoczynek. To nie jest tak, że u mnie ciągle trwa proces twórczy. Nie robię płyt na zapas. Jak będę miał zrobić płytę, to zacznę ją robić i będzie gotowa za trzy tygodnie. Każdy ma swój system pracy – i ja mam taki. Od trzydziestu lat działa.

Chodzi za Tobą jakaś podróż?

Ja cały czas jeżdżę. Choć nie planuję większych podróży, to już wiem, że w tym roku tego jeżdżenia i grania w różnych miejscach będzie sporo. W wakacje będę siedział nad morzem, będę siedział w górach... W Karkonoszach bywam kilka, nawet kilkanaście razy w roku. Mamy tam obiekt. Akurat trwa remont, ale jakieś światelko w tunelu się tli. Staram się raz w roku być w Tatrach. I tyle. Nie marzę o żadnych podróżach, bo jestem cały czas w ruchu, cały czas w trasie i jeśli odpoczywam, to bardziej w domu.

Marzysz o współpracy z kimś konkretnym?

Nie.

Może ze sztuczną inteligencją?

To ciekawe, może coś będzie kiedyś dla mnie płyty robić, a ja będę miał spokój święty? (śmiej) Ja się na tym kompletnie i totalnie nie znam. Wiem, że można wiele rzeczy zrobić za pomocą



AI, ale ja jestem dość analogowym człowiekiem. Ja w ogóle niczego nie umiem obsługiwać. Chociaż nie... w sumie dzisiaj naprawiłem tę awarię hydrauliczną (śmiej). Sztuczna inteligencja to narzędzie jak każde inne. Na pewno są tacy, którzy wykorzystają je w dobrej wierze i w umiejętny sposób, coś ciekawego z tego powstanie. Czy to będzie nadal twórczość ludzka, sztuka? Nie wiem.

Widzisz w AI zagrożenie?

Oczywiście, mógłbym może nad tym biadolić, ale przecież świat i miejsce muzyki w nim się zmienia. Dziś na przykład zalało mi kolekcję winyli, które chomikowałem... pierwsze wydania Pink Floydów, różne rzeczy, naprawdę wartościowe. Zalało to w pizdu. To jest nic niewarte już, bo jest wszystko pomarszczone. Płyty działają, ale cała reszta? Gdyby to było na jakichś chmurach AI to by mi nie zalało, no. Tworzymy sobie w głowie różne mapy rzeczywistości, które szybko się dezaktualizują. Sztuczna inteligencja przyspiesza pewne zmiany, które pewnie i tak by nastąpiły. Jeśli chodzi o muzykę popularną, to wydaje mi się, że produkcja hitów będzie fabryczna, bo AI i jej algorytmy dużo lepiej wiedzą, co się ludziom w ich masie podoba. Moim zdaniem teraz będzie tak, że skoro jesteśmy pozamykani w bańkach, to ten hit dla każdego będzie sprofilowany i będzie brzmiał troszkę inaczej i może być zupełnie innym tworem tak naprawdę. Wszystko to jest względne przecież.

W Twoim rapie słyhać, że dużo czytasz. Czym jest dla Ciebie czytanie?

Czytam sporo, kiedy tylko mogę. Tak się nauczyłem, to mi pomaga w życiu. Uważam, że jest to najdoskonalszy wciąż sposób komunikacji międzyludzkiej, pokonywania bariery odległości, czasu, śmierci. Może kiedyś będą lepsze sposoby? Nie wiem.

Co teraz inspirującego czytasz?

Odkryłem i zakochałem się w Béli Hamvasie (węgierski pisarz i filozof, przyp. red.). Czytam też nowe wydanie „Iliady” Homera w tłumaczeniu Andrzeja Libery, „Pałac” Myślińskiego, „Śmiejącego się psa” Vargi.. Ostatnio dużo jeździłem pociągami, co – jak wiadomo – sprzyja czytaniu.

Twoje dzieciaki też z nosem w książkach?

Tak, sporo czytają. Przede wszystkim widzą, że są książki, że są w domu, są blisko. To jest najważniejsze. Moja średnia w tej chwili na przykład bardzo lubi literaturę amerykańską, kupuje książki Grahama Greene’a i inne takie. Moje dzieci czytają rzeczy, których bym się nie spodziewał, że będą czytać.

Przed laty współpracowałeś z Timothyem Snyderem (amerykański historyk – przyp. red.) przy projekcie „GURAL: Wojna i Pokój”, popularyzującym wiedzę o wojnie i totalitaryzmie... Wystąpiliście razem na Festiwalu Malta. Wróciłbyś do współpracy na teatralnej niwie?

Jasne. Ja bardzo lubię teatr – w Poznaniu głównie Nowy i Polski. Mój ojciec był krytykiem teatralnym, chodził do teatru, głównie do pracy. (śmiech) Chodził na spektakle i tam sobie pisał o nich jakieś teksty... no a ja tam chodziłem z nim. Moja mama natomiast zabierała mnie oglądać obrazy. Cierpiałem przy tym, ale doświadczałem tego. Z moim dziećmi też staram się chodzić, chcę, by obcowały ze sztuką. Dziś jaram się malarstwem, więc zwiedzamy muzea czy jakieś galerie, wystawy. Chcę, żeby tym nasiąkły za młodu, bo nie wiadomo, kiedy to z nich wyjdzie. Ja byłem pełnym tępakiem przez pół życia, ale dzięki temu, że liźnąłem trochę kultury za dzieciaka, to po tej trzydziestce coś jednak zaczęło kiełkować... Sztuka uwrażliwia człowieka, uczy go, czyni go lepszym.

A festiwale muzyczne lubisz?

To idzie do druku? To tak, bardzo lubię. (śmiech) Tak serio, to nie. Wolę sobie słuchać muzyki sam, szczerze powiedziawszy. Nie umiem na koncerty chodzić dla przyjemności. Większość technicznych, akustyków i tak dalej znam. Czuję się jak w pracy, jak gdybym miał za chwilę wyjść na scenę. Nie możesz się zrelaksować, bo ciągle patrzysz na zegarek. Zagrałem dwa i pół tysiąca koncertów – trudno, żebym pragnął jeszcze jakichś poza nimi.

Pytanie od fana – jak Ty to robisz, że po ponad trzech dekadach na scenie twój rap nadal jest świeży, chętnie słuchany?

Uważam, że dobrze rapuję, po prostu. Zawsze powtarzałem, że jestem najlepszy. (śmiech) Podoba mi się mój rap. Oczywiście nie wiem, czy jestem najlepszy, no ale grunt, to tak myśleć. Udało mi się też wskoczyć w odpowiednim czasie, kiedy rap się rodził. Jestem pierwszym polskim rzutem raperów... i przetrwałem do dziś.

Nigdy nie korciło Cię, żeby pójść w autotune?

Kiedyś nawet mi próbowali zapinać autotune, ale w moim przypadku niewiele to zmienia – nie wiem, dlaczego. Pewnie trzeba umieć używać autotune. Ja nie umiem, nie specjalizowałem się w tym nigdy. Poza tym jak już mnie ciągnęło, to robiłem screw, spowalniałem głos i pitchowałem go w dół. Autotune jest wyrazem pewnej mody, pewnego trendu – nie tylko w rapie, ale w ogóle na świecie. Kiedyś faceci byli napakowani sztucznie na siłowniach, wszyscy byli straszni i groźni. W tej chwili bożyszczem kobiet są jacyś chłopacy z Korei, którzy są chudzi jak modelki. I wyrazem tego też jest podwyższanie tonu głosu na bardziej – jak by to powiedzieć, kobiecy? Dziecięcy? Na głos przyjemniejszy, a nie agresywny, który przychodzi na myśl atak. Tak to widzę.

Słuchasz swojej muzyki? Oceniasz ją po czasie?

Przez jakiś czas po tym, jak nagram płytę, przez jakiś czas słucham swoich piosenek i one mi się podobają. Potem przestają i już ich nie słucham. Ale w tym momencie, jak muszę się ich nauczyć na pamięć i tak dalej, to tego przesłuchuję i spoko to jest. Mnie się ogólnie podobają moje kawałki. Nie jestem perfekcjonistą, nie podchodzę do tego w ten sposób, że mają być super i najlepsze. Nie rozpamiętuję przeszłości. To ilustracja mojego życia, jakaś kronika, jakieś archiwum. Tak było, tak zrobiłem, tu się pomyliłem, no i tyle. Nie mam do mojej twórczości specjalnie emocjonalnego stosunku.

A który z Twoich albumów jest Twoim ulubionym?

„Atlas”. Chociaż w sumie już mi się znudził. Nie słucham go już. (śmiech)

Czyli zawsze ten nowy?

Tak, to najnowszy jest na ogół ulubionym, bo wydaje mi się, że rapuję na nim lepiej niż pięć czy dziesięć albumów wstecz.

Czy mógłbyś szukać nowych gwiazd rapu? Być jurorem w talent show?

Może nawet i mógłbym, czemu nie? Nie mam nic przeciwko. W końcu wszystko się teraz komercjalizuje. Fajnie, żeby przy

tym pracowali fachowcy i nie robili obciachu. Z drugiej strony, co jest wyznacznikiem tego, czy ktoś dobrze rapuje? Sam nie wiem. Dla mnie niewiele osób rapuje dobrze.

Dokąd zmierza scena?

Wraca prawdziwy rap! Cały czas mam przysłowiowe jedno oko na Maroko, na scenę amerykańską. I widzę, że tam od jakiegoś czasu wraca oldschoolowy rap. Ja się czuję, jakbym wrócił na lata dziewięćdziesiąte! Raperzy, których lubiłem słuchać, wydają teraz nowe albumy. Ciągłe wychodzą nowe rzeczy od weteranów sceny, pojawia się sporo graczy, którzy robią klasyczny rap, rapują, jak dawniej. A skoro tam tak się dzieje, to u nas też tak będzie, a nawet już się zaczyna. Tak więc, ja jestem spokojny. Nie ma w tym zalewie nowej muzyki aż tak dużo nas, raperów starego pokolenia. Dla Gurala to zawsze dobrze – jak jest chujnia, jest kryzys, niewiele się dzieje, no to Gural się wyróżnia, bo robi swoje i napierdala jak zwykle. A jak z kolei jest koniunktura i się dużo dzieje, to jakoś z tłumem też Gural leci i też jest okej. Ja sobie poradzę. Jeżeli ktoś ma pomysł na robienie szczerego rapu i robi to już długo, to musi sobie poradzić.

Czy masz w głowie jakiś temat, o którym nigdy nie rapowałeś?

Kto wie, może odkryję jeszcze jakieś nowe pola eksploatacji... Oglądałem niedawno bardzo fajny rapowany musical „1989”, do którego pisał teksty m.in. Łona. Córka zmusiła mnie wreszcie do obejrzenia, bo ona to na pamięć zna „Hamiltona” (wielokrotnie nagradzany musical Lin-Manuela Mirandy, opowiadający w nowoczesnej formie łączącej rap, hip-hop, R&B historię Alexandra Hamiltona – jednego z ojców założycieli USA – przyp. red.). „Hamilton” jest po prostu perfekcyjnie zaprowany, napisany. Rap ma jeszcze wiele takich świetnych terenów do zgłębienia. Jeśli o mnie chodzi, na pewno chcę jeszcze zrobić ostatni mixtape z Matheo – żeby powstał pięcioksiąż. Mam trochę pomysłów na przyszłość.



All That Jazz

Gdzie znaleźć jazz w Poznaniu?

Tekst: Julia Lipowicz

Jazz wraca i zdecydowanie jest hot. To zdanie słyhać coraz częściej – zarówno w rozmowach ze znajomymi, jak i w sieci, zwłaszcza wśród pokolenia Z. Dwudziestokilkulatkowie sięgają po jazz zarówno w klasycznej formie, jak i w licznych fuzjach gatunkowych, które dziś łatwiej niż kiedykolwiek znaleźć.

Jazz przyciąga nie tylko jako gatunek muzyczny, ale też jako estetyka. W ubiegłorocznym raporcie Pinteresta „Jazz Revival” okazał się jednym z najważniejszych trendów – obejmujących muzykę i modę. Gen Z uznaje jazz za „cool”, poszukując nowych dźwięków i form, które interpretuje na własny sposób – i których szuka w swoich miastach.

To również efekt pandemii: normalizacji samotności i życia online – od relacji, przez szkołę i studia, po pracę zdalną. Te zmiany, mimo pewnych zalet, wywołały tęsknotę za tym, co autentyczne – za żywym doświadczeniem, spotkaniem, przeżyciem. Po pandemii wszyscy – nie tylko Gen Z, ale też millennialsi – potrzebują emocji. W czasach komercjalizacji i nieustannego konsumpcjonizmu koncerty (nie tylko jazzowe) stały się dla wielu dowodem, że wciąż coś czujemy.

Z jednej strony dominuje zromantyzowana wizja jazzu – przydymione kluby, eleganckie stroje, zanurzenie w dźwiękach. Królują czarne satynowe sukienki i białe koszule. To doświadczenie z kategorii „extra”, którego wszyscy łaknęliśmy i które teraz sobie odbijamy. Z drugiej strony jazz jest też dla zwykłych ludzi – łączy sacrum z profanum. Kluby na całym świecie wypełniają się słuchaczami, którzy przychodzą na koncerty w sneakersach, z piwem w dłoni – po prostu, po ludzku.

Właśnie – *Jazz is for ordinary people* to tytuł utworu Berlioza, brytyjskiego artysty tworzącego nowoczesny jazz czerpiący z house’u. Twórczość Teda Jaspiera (bo tak naprawdę się



na zdjęciu Bibobit fot. Szopix & Niewidki

nazywa) opisywana jest jako „gdyby Matisse grał muzykę house”. W marcu wyprzedał warszawską Progresję, a publiczność reagowała z euforią bardziej typową dla koncertów rockowych niż jazzowych.

Choć jazz wciąż bywa postrzegany jako nisza, rzeczywistość przeczy temu obrazowi. Zarówno zespoły, festiwale, jak i publiczność udowadniają, że jazz przebija się do mainstreamu. W Polsce przybywa młodych formacji łączących jazz z hip-hopem, funkiem, soulem, house’em czy elektroniką.

Od światowego trendu do Poznania

Choć poznańska scena nie należy do najłatwiejszych, jazz w centrum miasta słyhać od lat. Na hasło „jazz w Poznaniu” większość spojrzy w stronę Blue Note – kultowego klubu, działającego od 1998 roku w gmachu Zamku Cesarskiego. Od dwóch lat funkcjonuje na nowo – po remoncie, z nową energią i pomysłami.

Tomek Rassek, menedżer klubu, podkreśla, że starają się wychodzić naprzeciw nowej publiczności. Przykład? Comiesięczne jam sessions w każdy pierwszy czwartek miesiąca. W tym roku finansowane są z budżetu Miasta Poznania, a darmowy wstęp zostanie utrzymany również od września.

W czerwcu odbył się także Festiwal Młodego Jazzu – organizowany przez Akademię Muzyczną we współpracy z Blue Note. Klubowe wnętrza oddano studentom na dyplomy, by mogli zagrać je w naturalnym, koncertowym środowisku – bez stresu egzaminacyjnych komisji.



Jam session w klubie Blue Note fot. Maciej Chomik.

Na scenie Blue Note'a chętnie występują młode zespoły z Poznania (i nie tylko). Dobrym przykładem jest kwintet Blu/bry, złożony z absolwentów szkoły muzycznej przy ul. Solnej. Zespół zdobywa ogólnopolską rozpoznawalność – ostatnio wystąpił na Enter Enea Festival. Dużym zainteresowaniem cieszył się także lutowy koncert grupy Błoto z projektem *We Remember J Dilla*.

Nie tylko Blue Note

W Poznaniu działają też inne miejsca promujące jazz i improwizację. Jednym z nich jest Pan Gar w Domu Tramwajarza przy ul. Słowackiego. To właśnie tam, we wtorkowe wieczory, odbywają się jam sessions z udziałem profesjonalnych muzyków i amatorów. Pierwszą część spotkań często prowadzi Kuba Królikowski – pianista i kompozytor jazzowy. Przestrzeń ta przez lata stała się inkubatorem wielu muzycznych projektów.

To właśnie stąd wywodzi się m.in. Głupi Komputer – trio Królikowski/Fetler/Karpiński. Zderzenie jazzu i elektroniki przyniosło debiutancki album *Jazz Not Found*, wydany w marcu 2025. Inny przykład to zespół KOŃ, grający acid blues z domieszką jazzu i psycho trance.

Szymon Konrad, dyrektor artystyczny Fundacji Pan Gar, podkreśla, że scena Domu Tramwajarza jest otwarta na tych,

którzy nie mają jeszcze przestrzeni do zaprezentowania się. W ramach cyklu WAPO (Wieczory Artystów Poznańskich), zainicjowanego przez Milenę Puszczak i Jakuba Szwarca, młodzi twórcy mogą debiutować przed publicznością.

Dom Tramwajarza wkrótce przejdzie remont. Koncerty w małej sali wrócą już we wrześniu, a Sala Amarantowa zostanie ponownie otwarta na początku 2026 roku.

Z Poznania bez granic

Poznańscy muzycy jazzowi coraz częściej są zapraszani poza miasto – i słusznie. Nie znikają jednak z lokalnej sceny. Nowe formacje czerpią z jazzu, często łącząc go z elektroniką. Przykład? Zespół Siema Ziemia – Andrzej Konieczny, Wuj HZG, Fryderyk Szulgit i Kacper Krupa. Ich brzmienie to jazzowe serce zanurzone w syntezatorach, doceniane także poza Polską.

Z ducha eksperymentu i improwizacji narodził się projekt Łona x Konieczny x Krupa. Część Siema Ziemia połączyła siły z Łoną – efektem jest koncepcyjny album *TAXI*, opowieść o mieście widzianym oczami taksówkarza. Projekt zdobył trzy Fryderyki w 2024 roku. Najbliższa okazja, by ich usłyszeć, to 5 lipca podczas Enea Edison Festival w Baranowie.

– Jazz zawsze szedł z duchem czasu – podkreśla Kacper Krupa. – Choć kojarzy się ze swingiem i bossą, od zawsze



Głupi Komputer w klubie Pan Gar

„Nowe formacje powstają w oparciu o jazz, często w połączeniu z elektroniką”



wchłaniał to, co działo się wokół. Dziś młodzi ludzie, często wywodzący się z hip-hopu czy elektroniki, odnajdują w jazzie dokładnie to, czego szukają.

Nie tylko jazz z syntezatorami ma się jednak dobrze. Tradycyjna forma w świeżej odsłonie także znajduje odbiorców. Trio Kwaśny Deszcz – Krupa, Cienkowski i Aleksandrowicz – stawia na kolektywną improwizację, broniąc się bez żadnych dodatków.

Vibe, improwizacja i energia

Wzajemne znajomości i kolaboracje to siła poznańskiego jazzu. Przykład? Wuja HZG, czyli Paweł Stachowiak – muzyk związany z zespołami Błoto, EABS i Siema Ziemia. Brał udział w na-

graniu ponad 60 płyt i definiuje muzykę przez brzmienia, a nie gatunki. Niedawno w duecie z Tymkiem Papiorem stworzył świeży projekt Lumbago, który w tym roku zagra na OFF Festivalu.

Kolejny przykład to Plondra – formacja Fryderyka Szulgita, łącząca swobodę jazzu lat 60., surowość grunge’u i elementy ambientu, noise’u i drone’u. W składzie m.in. Krzysztof Baranowski, Jakub Szwarc i Kacper Krupa.

Poznańską scenę reprezentuje także Michał Kmiecik – kompozytor i pianista, lider zespołu Hello Mark, współpracujący z Grabkiem. Ostatnio dużo mówi się o jego kolaboracji z Nimm2 – projektem elektronicznym.

Warto śledzić też Fanfarę Awanturę – szalone połączenie polskich melodii ludowych z techno, tworzone przez orkiestrę



dętą pod wodzą Michała Fetlera. To trzeba usłyszeć! Nie można pominąć również zespołu Bibobit, który łączy jazz z elektroniką i popem. Często pojawiają się na dużych festiwalach, a w tym roku zagrają m.in. na Pol'and'Rock.



Lumbago

Jazzowo zahacza także projekt kakofoNIKT – 18-letnia formacja nadal uznawana za część młodej sceny jazzowej. Jej członkowie są powiązani z Kołorkingiem Muzycznym na Świętym Marcinie. Z tego środowiska wywodzi się też duet Joniec & Giżycki (MicrobioM) – wykonujący „radikalną, psychoaktywną muzykę swobodnie improwizowaną”.

Jazz odnajduje nas sam – wystarczy dać mu szansę. Być może nigdy nie przestał być *hot* – po prostu potrzebowaliśmy nowych form, by odkryć go na nowo.

Młody polski jazz coraz częściej pojawia się na największych festiwalach w kraju. Formacje jazzowe usłyszymy m.in. na Tauron Nowa Muzyka, Open'erze czy OFF Festivalu, gdzie zagrają m.in. Kosmonauci, Omasta, Ninja Episkopat oraz Lumbago z Wuja HZG.

W Poznaniu natomiast jazz zabrzmi latem w Parku Starego Browaru, podczas Blue Summer Jazz Festival (26–27 lipca), organizowanego przez Blue Note. Wśród wykonawców: EABS z Brianem Jacksonem oraz Jazzbois – trio łączące jazz z hip-hopowym groovem.

ESTRADA W CENTRUM

LETNIE WYDARZENIA KULTURALNE

1.06 - 31.08.2025



ESTRADA
POZNAN
SKA

POZNAN*





„Fotografia koncertowa to przywilej i zaszczyt”

Jacek Mójta

Rozmawiał: **Michał Krupski**

Zdjęcie: **Iza Mójta**

Jego twarz jest znana wielu uczestnikom poznańskich koncertów. Możemy go spotkać w wielu przestrzeniach muzycznych, zazwyczaj z aparatem w ręku. Od kilku lat ma bardzo wysoką pozycję wśród fotografów koncertowych, szczególnie w naszym mieście. Jacka Mójtę widzimy głównie przez pryzmat jego obrazów zarówno w materiałach promocyjnych agencji koncertowych, jak i w gazetach branżowych. Ja postanowiłem spojrzeć, kto stoi za obiektywem. Porozmawialiśmy nie tylko o fotografii, lecz i o życiu, bo Jacek ma w sobie wiele pasji nie tylko do robienia zdjęć.

Zdjęcie, które zapamiętasz na zawsze?

Nie jest to łatwe pytanie. Wydaje mi się, że jednego konkretnego nie mam, jednak najbardziej wryły mi się pamięć pierwsze zdjęcia koncertowe i moment, w którym zacząłem je robić. Pierwsze poważne fotografowanie muzyki przeżyłem w Jarocinie 10–11 lat temu, w czasach, kiedy ten festiwal organizowała jeszcze agencja Go-Ahead. Najbardziej przeżyłem pierwsze wejście do fosy oraz pierwsze uderzenie dźwięków i powietrza z głośnika basowego. Pamiętam, że straciłem na chwilę oddech, tak poruszyła mnie atmosfera i obecność pod sceną. Sama możliwość złapania za nogę artysty była dla mnie czymś wielkim. To właśnie te emocje z samego faktu możliwości fotografowania w takim miejscu utkwiły mi najbardziej w pamięci, bo same zdjęcia na

początku nie były imponujące. Pamiętam, że tego samego dnia wróciłem w nocy do Kicina, w którym mieszkam. Byłem tak podekscytowany, że musiałem te zdjęcia od razu zrzucić, obejrzeć i coś przy nich pokombinować. Nie spałem całą noc.

Czyli pierwsze zdjęcia robiłeś dla Go Ahead?

Akurat podczas tej edycji festiwalu akredytację pozyskałem z innego źródła, ale sprawy potoczyły się tak, że potem długi czas robiłem dla nich zdjęcia. Oni te zdjęcia wykorzystywali do promocji koncertów na plakatach i w innych miejscach. Pamiętam, że w czasach, gdy dobrze koncertowo funkcjonowała Hala nr 2 na Targach, moje zdjęcia tam wisiały. Uwielbiałem też robić zdjęcia na Spring Breaku.



Król z zespołem fot. Jacek Mójta



Ewa Bone i Ewa Kozubal, fot.: Jacek Mójta

W dalszym ciągu bywasz na kontynuacji Spring Breaka?

Staram się bywać, ale zdjęcia robię już bardziej jako freelancer, co wynika z mojego zainteresowania formułą festiwalu. Osobiście uważam, że fotografia koncertowa to jeden z bardziej podniecających obszarów fotografii, tak że jeśli ktoś lubi muzykę i koncerty, to tak naprawdę nie ma nic nad obecność w pierwszej linii i robieniu zdjęć. Jest to przywilej i zaszczyt, choć nie jest to łatwe. Okazuje się, że doskonali fotografowie sesyjni z innych branż niekoniecznie odnajdą się podczas koncertów. Działa to oczywiście w obie strony.

Poruszyłeś ciekawy temat, bo zastanawiam się co w sytuacji, gdy idziesz na koncert, robisz zdjęcia dla kogoś na zlecenie, a totalnie nie jest to klimat, w którym dobrze się czujesz.

To nie ułatwia pracy, lecz ja naturalnie traktuję takie sytuacje jako wyzwanie i pewnego rodzaju bitwę. Nie pozwolę sobie ze zlecenia wyjść bez kadrów, które mnie zadowolą, tylko

przez moje poczucie estetyki i spojrzenia na muzykę. Sytuacja jest łatwiejsza, gdy mogę cały koncert robić zdjęcia, gorzej, jeśli mamy tylko trzy kawałki w fosie. Jest to czas rozgrzewki wokalistów i wtedy zrobienie dobrych ujęć to duże wyzwanie. Można gołym okiem zauważyć po zdjęciach, który fotograf przyszedł na koncert podjarany, a który tylko dlatego, że kazał mu to zrobić redaktor naczelny. Bez pierwiastka uczuciowego jest mała szansa na zdjęcie z kategorii „wow”.

Wiem, że nie tylko koncertowe zdjęcia robisz. W jakich sesjach i przestrzeniach najlepiej się czujesz?

Lubię ludzi i kontakt z nimi. Bardzo dobrze czuję się w sesjach portretowych i wizerunkowych. Lubię rozmawiać, jestem ciekawy człowieka. Zanim umówię się z kimś na sesję, muszę tę osobę poznać. Odnajduję się również w reportażach. Współpracuję z różnymi instytucjami i firmami, którzy zlecają mi różne imprezy i bale. Zdarzyło mi się robić sesję zdjęć wodo-

mierzy i mierników – atrakcyjne sfotografowanie ich było ciekawym wyzwaniem. Niemniej, było to bardzo fajne i tam też dobrze się odnalazłem.

Jestem na tyle podekscytowany możliwością robienia zdjęć, że zrobię je wszędzie, gdzie jest potrzebny aparat. Zdarzyło mi się nawet fotografować pogrzeb, bo kilkunastu innych fotografów odmówiło realizacji tego zlecenia.

Ciekawa historia. Dlaczego odmawiali?

Pewnej osobie zmarła matka. Chciał mieć z nią pożegnalne zdjęcia, nie na zasadzie sesji, ale po prostu potrzebował pamiątki z ostatniego pożegnania. Tam rzeczywiście kilkanaście osób odmówiło współpracy, ale on był zdeterminowany. W końcu zlecenie w taki sposób trafiło do mnie. Mnie w zasadzie każda sytuacja fotograficzna interesuje. Dla mnie to takie trochę błogosławieństwo, że obserwując daną sytuację, nie widzę jej jako sytuacji prawdziwej, lecz przez pryzmat obiektywu. W sytuacji pogrzebowej widzę bardziej kadry niż grozę i przygnębienie w takiej akurat sytuacji.

Fotografujesz podczas dużych koncertów plenerowych jak i na malutkich alternatywnych wydarzeniach. Do jakiego typu artystów i imprez jest Ci bliżej?

Zdecydowanie bliżej mi do klubów niż dużych imprez. W ogóle nie interesują mnie koncerty stadionowe. Mogę tam przebywać jako widz, lecz nie jako fotograf, bo jest to po prostu nudne – z tego względu, że są tam mocno określone zasady gry. Zazwyczaj fotografowie są skoszarowani, a robienie dobrych zdjęć wysokiej sceny z poziomu ziemi jest mocno ograniczone. Każdy fotograf z takiego koncertu wychodzi z podobnymi kadrami. Odległości od wykonawców są zbyt duże. Inaczej sytuacja ma się, gdy mamy status fotografa zespołowego i robimy zdjęcia ze sceny czy backstage'u. Nie ma nic fajniejszego niż klub, który daje bliskość artystów, fajne światła, interakcję z publicznością. W takich przestrzeniach jesteśmy jako fotografowie skazani na sukces obrazkowy.



Podaj mi przykład idealnego miejsca do robienia zdjęć koncertowych w Poznaniu.

Bardzo lubię Tamę i Aulę Artis, w której koncerty odbywają się na poziomie podłogi i jest możliwość przemieszczania się po antresoli. Kiedy mamy zdjęcia z dołu, na wprost, z boku i z góry, daje to nieoczywistą perspektywę. Dzięki temu mózg odbiorcy jest zadowolony, bo coś tam się dzieje, nie ma nudy.

A jakieś mniej oczywiste przestrzenie koncertowe?

Dużo dzieje się w mniejszych knajpkach. Możliwość robienia zdjęć ze skróconym dystansem daje większą atrakcyjność



Tuczno Krajeńskie fot. Jacek Mójta

na końcu. Jeden ze znanych fotografów powiedział kiedyś, że jeśli zdjęcie nie jest dość dobre, to znaczy, że nie byłeś wystarczająco blisko.

Idąc za ciosem, porozmawiajmy o tych mniejszych inicjatywach. Wiem, że np. jeździsz do Tuczn Krajeńskiego, które jest znane w światku typowo alternatywnym. Dlaczego możemy się spotkać akurat tam i w jakich innych mniejszych miejscach jeszcze?

Cieszę się, że zahaczyłeś o Tuczn, które zajmuje szczególne miejsce w moim sercu. Występuje tam pierwiastek magiczny, na

który składają się fantastyczne okoliczności przyrody oraz ludzie. Z tego małego miasteczka wywodzi się cała armia artystów różnych branż – malarze, rzeźbiarze, muzycy... Znalazłem się tam na zaproszenie znajomego i momentalnie wtopiłem się w ten klimat. Podobny rodzaj zachwytu miałem w przypadku Bieszczadów. Jako dorosły człowiek wylądowałem tam po raz pierwszy i rokrocznie tam wracam. Jeśli chodzi o Tuczn, to już zaczyna mnie nosić. Niedawno zaczęliśmy znajomych, aby znaleźć pierwszą okazję w tym roku do pojawienia się tam. Nieważne, że jedzie się tam ponad dwie godziny. Magiczny jest Klub TU i inicjatywa pod nazwą „Bałagan Artystyczny”. Tam dzieją się fantastyczne koncerty i inne „eventy”, na które przyjeżdża się jako obcy, a po trzech minutach jest wrażenie rozmowy z ziomkami, których znasz od zawsze. Traktuję to miejsce jak przyjazd do rodziny.

Jestem też zachwycony Szczecinkiem, w którym odbywa się Art Piknik. Na dziesięć edycji w okresie wakacyjnym brałem udział w trzech. To kolejne miejsce, gdzie klimat tworzą głównie ludzie. Organizatorami jest grupa znajomych, którzy rozejchali się po całym świecie, ale na moment festiwalu zbierają siły i tworzą wspólnie niezwykle wydarzenie. Są tam wystawy, teatry uliczne, koncerty z dobrą muzyką i wiele innych inicjatyw. Główna scena jest pięknie zlokalizowana przy pałacu nad jeziorem, co fantastycznie wygląda w scenerii nocnej. Jeśli ktoś nie odwiedził jeszcze Szczecinka i nie był na tym festiwalu, to zdecydowanie polecam to nadrobić.

Polecam też Famę w Świnoujściu, gdzie miałem przyjemność prowadzić warsztaty z fotografii koncertowej. Nie ma lepszych warunków dla miłośników tej branży niż możliwość uczestnictwa w festiwalu tego typu, który trwa tydzień. Codziennie jest ok 5-6 koncertów, do tego występy teatralne i inne wydarzenia. Uczestnicy warsztatów codziennie mają możliwość robienia zdjęć na wszystkich koncertach. Formuła jest taka, że na drugi dzień po zrobieniu zdjęć, wspólnie je omawiamy. Intensywność warsztatowa jest bardzo wysoka. Trzeba także podkreślić, że dzieją się tam rzeczy fantastyczne. Dobór wykonawców jest przemyślany – nie są to jeszcze zblazowani wykonawcy z górnej półki, dzięki czemu wszystko jest maksymalnie szczere.

Festiwal jest związany również z poznańskim światkiem kulturalnym.

Tak. Dyrektorem programowym jest nasz poznański artysta Przybył, rzecznikiem prasowym Edgar Hein, a Gosia Bego bierze udział w organizacji. Jest to festiwal, który trzeba promować i o nim mówić. Poza tym samo Świnoujście jest miastem, które pokochałem miłością przeszczepą. Jak na polskie realia, jest to swego rodzaju perełka. Choć to się zmienia na korzyść, nadal większość naszych miejscowości nadmorskich jest kiczowata. W Świnoujściu natomiast czuć niemiecki sznyt. Jadąc na rowerze w dziesięć minut jesteśmy po drugiej stronie granicy, także nad morzem, gdzie możemy napić się już niemieckiego piwa. Ogromna szeroka plaża robi wrażenie, a do tego Fama – całościowo jest to genialne miejsce.

Powiedziałeś kiedyś: „Częściej niż Wojciecha Waglewskiego, fotografuję tylko wnuczkę”. Voo Voo jest aż tak dobrym materiałem do zdjęć?

Świetnie, że o to pytasz. Zdecydowanie tak. Trudno utrzymać ten sam poziom podniecenia po kilkunastu latach robienia zdjęć jednemu artyście. W związku z tym jeśli chodzi o wydarczenia, jestem bardziej selektywny – chodzę tam, gdzie chcę, lub tam, gdzie mam zlecenie. Trzeba pamiętać, że jeśli piętnasty raz robisz zdjęcie jakiemuś artyście, nawet takiemu, którego lubisz, to staje się powtarzalne i nudne, nawet, gdy koncert jest świetny pod względem artystycznym. Z Voo Voo i Waglewskim jest inaczej. Nim nie potrafię się znudzić. Ich świetlik należy do ścisłego topu w kraju, a światło w fotografii jest najważniejsze. Voo Voo gra muzykę w pewnym sensie improwizowaną, dlatego tam zawsze sporo się dzieje. Waglewski z kolei jest świetną postacią jako obrazek. Jego dbałość o wygląd mi imponuje i zachęca do robienia zdjęć.

Czy z robienia zdjęć można utrzymać siebie i rodzinę?

Można, ale jest to bardzo trudne i z każdym rokiem coraz trudniejsze. To ogólnie temat rzeka, ale postaram się streścić. Poziom skrajności jest kosmiczny. Z jednej strony mamy topkę fotografów modowych, produktowych itd., którzy robią

kampanie dla ogromnych firm na rynku międzynarodowym i zarabiają na tym gigantyczne pieniądze. Z drugiej strony jest cała armia pasjonatów, którzy chcieliby zarabiać wyłącznie na fotografii, ale nie każdemu to się udaje. Z tego, co obserwuję, mnóstwo fotografów łączy fotografię z pracą na etacie, po to, aby nie odciąć się od możliwości robienia zdjęć i jednocześnie zapewnić sobie i rodzinie normalny poziom życia. Ja na przykład, rzucając pracę w korporacji, wyobraziłem sobie, że najlepiej, gdy rozpocznę zarabianie od zdjęć ślubnych. Są to imprezy powtarzalne i nigdy się nie skończą. Naiwnie uważałem, że to zapewni mi bazę socjalną. Okazało się, że nie jest to łatwe, ponieważ robienie zdjęć ślubnych na wysokim poziomie jest niesłychanie trudne. Wyobraź sobie pracę kilkanaście godzin w pełnej gotowości do zerojedynekowych sytuacji, które już się nie powtórzą. Potem setki zrobionych zdjęć czekają na obrobienie, a kiedyś jeszcze wypadałoby się wyspać. Jeśli się uda, następnego dnia masz kolejny ślub, podczas którego znów musisz stanąć do pionu. Nie jest to łatwe. Jest cała armia fotografów, którzy pomyśleli podobnie, jak ja kiedyś, i także się na tym przejechali. Nie ma jednego dobrego patentu na to, aby dojść do dobrego poziomu zarobkowego.

Kto Cię uczył robienia zdjęć i zachęcił do zawodowstwa?

Ostatnio podczas podróży po Puszczy Zielonce, w okolicy, której mieszkam, wspominałem sobie swojego ojca. Podczas głębokich flashbacków doszedłem do wniosku, że to właśnie on był dla mnie inspiracją. W naszym mieszkaniu zawsze były albumy fotograficzne, które sięgały czasów PRL. Ojciec miał mały aparat radziecki Smiena 8, który miał niezły jak na amatorskie warunki obiektyw oraz ciemnię, w której wywoływał zdjęcia. Podglądałem go podczas pracy i tak właśnie złapałem zajawkę.

Na dobre tematem zainteresowałem się wraz z grupą kolegów w szkole średniej. Chodziliśmy razem robić zdjęcia. Po jakimś czasie dorobiłem się aparatów Zenit i Praktica. To było nadal głównie strzelanie dla siebie i rodziny. W czasach pracy w korporacji było mnie już stać na lepszy sprzęt. Rodzina twierdziła, że moje zdjęcia są interesujące, co przekonało mnie do tego, żeby rzucić wieloletnią pracę korporacyjną w bankowości

na rzecz profesjonalnej fotografii mimo że pracowałem na stanowiskach dyrektorskich.

Dużą rolę odegrała moja żona Mira, która przekonała mnie do zmiany życia na takie, z którego będę czerpał szczęście. Bo ja lubię być szczęśliwy. Wsparcie partnera życiowego jest bardzo ważne przy tego typu zmianie. Pracę w korporacji zmieniałem co 7 lat, dzięki czemu nie wypalałem się, ale potrzebowałem czegoś innego. Nie miałem nigdy podjarki z kariery stanowiskowej i finansowej, choć nauczyła mnie mnóstwa rzeczy, które do dziś procentują. Dała mi także bufor finansowy, kiedy po rewolucji zawodowej moje przychody spadły katastroficznie. Stopniowo doskonaliłem swój warsztat i tak doszedłem do punktu, w którym od kilku lat jestem już w stanie utrzymać się z robienia zdjęć.

Gorzej mają osoby, które startują z fotografią bez tego bufora finansowego?

Szczerze im współczuję. Ja miałem ten komfort, że młodo miałem dzieci i zdążyłem już je odchowić, dzięki czemu mogłem zaryzykować bez większego ryzyka i rodzinnych konsekwencji.

Co jest najważniejszym elementem sesji – sprzęt?

Sprzęt bardzo pomaga, natomiast ja jestem zdania, że najlepszy aparat, to ten, który akurat masz przy sobie. Znam fotografów, którzy mają kilkunastoletni sprzęt, a jakość ich produkcji jest na bardzo wysokim poziomie.

A na czym Ty pracujesz?

Ja od wielu lat jestem w systemie Nikona. Aktualnie oswojam się z nowym zakupem, który jest na tak wysokim poziomie technologicznym, że trudno się połapać, jak to wszystko wykorzystywać (śmiech).

Czy poza fotografią, czymś jeszcze się zajmujesz? Wiem, że Twoje życie skrzyżowało się w pewnym momencie ze strefą gastronomiczną.

To raczej życie mojego młodszego syna i jego żony skreśliło w gastronomię, gdy wymyślili i zrealizowali koncept pt. Zdolni. Branża jest bardzo trudna i nawet nie próbuję bezpośred-



Dawid Podsiadło fot. Jacek Mójta

nio w tym uczestniczyć, bo nie chcę przeszkadzać. Obserwuję ten biznes z boku i cieszę się, że Zdolni zdobyli wysoką pozycję na tym wymagającym rynku. Ja natomiast fotograficznie współpracuję z gastronomią – obsługuję kilka restauracji i jestem z tego zadowolony.

Na koniec pytanie: czy jesteś fotografem spełnionym fotografem, czy też ciągle gdzieś spoglądasz i chcesz więcej?

Nie jestem spełniony. Uważam, że najlepsze zdjęcia są jeszcze przede mną. Mam sporo wolnego czasu i ciągle szukam wyzwań, nawet tych niekomercyjnych. Życie fotografa jest o tyle fajne, że zlecenia mogą się pojawić z dnia na dzień, w zupełnie nieoczekiwanych obszarach. Miałem już różne takie sytuacje, które miały zupełnie niespodziewane swoje dalsze konsekwencje. Kiedyś zostałem poproszony o organizację warsztatów fotograficznych dla żon biznesmenów, w ich czasie wolnym podczas konferencji. Warsztaty polegały na tym, że w zainicjowanym studio fotograficznym dałem im do dyspozycji swoje dwa aparaty i robiliśmy sesje modowe. Uczestniczki poczuły się jak topmodelki na wybiegu w Mediolanie. Ich poziom radości był ogromny i bawiły się tam jak małe dziewczynki. Wspaniałe doświadczenie.

**„Graffiti
to formy
trudne
w odbiorze”**

**FRESH ART:
KOZA ONE**

Opracował:
Dawid Balcerek

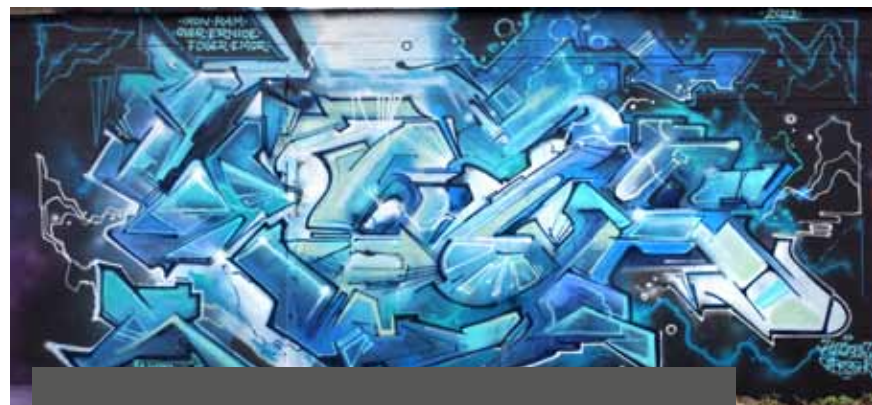




Przy setnym numerze wracamy sentymentalnie do archiwalnych wydań magazynu. Koza był naszym pierwszym artystą, z którym zrobiliśmy prawie 15 lat temu materiał z serii Fresh Art. Tworzy nieustannie od 1996 roku, a jego twórczość możemy podziwiać na murach miejskich galerii w przestrzeni Poznania. Jego litery mają charakterystyczny styl, dynamikę oraz zawsze mogą liczyć na szeroką paletę kolorów. Dzisiaj po wielu latach ponownie się spotykamy, by zobaczyć jego najnowsze prace i usłyszeć, co ma do powiedzenia na temat swojej sztuki.



Graffiti rozumiem jako pisanie swojego imienia, malowanie napisu we własnym stylu. Styl to konkretny sposób na projektowanie układu liter, w konkretnym zestawieniu, konkretnej dynamice itp. Cała reszta to już wypadkowa konkretnych sytuacji, stanów emocjonalnych oraz czasu i miejsca.



Graffiti to ciekawa forma wyrazu ze względu na jego mocne zawieszenie pomiędzy światem abstrakcji i liternictwa, aż po czysto ilustracyjne dodatki nadające wydźwięku lirycznego.



Kiedyś uczyłem się malować. Dziś idąc malować uczę się sam o sobie, gdzie aktualnie znajduję się na swojej drodze writera. Są dni, w których mam ochotę na spotkanie z czystymi formami geometrycznymi, światem zestawień kolorystycznych, kombinacją linii i plam. Czasami jednak natchodzi mnie poczucie opowiedzenia jakiejś historii, bardziej przyziemnej. Sięgam wtedy po dodatki w postaci mniej lub bardziej klasycznych charakterów, elementów architektury, niekiedy malując całe scenki pejzażowe.





O oglądaniu graffiti cały czas myślę archetypowo; to jest napis, należy więc go po prostu przeczytać od lewej do prawej. To nie są klasyczne kompozycje malarskie, bynajmniej w moim wykonaniu.





Graffiti to formy trudne w odbiorze. Wielu nie potrafi odczytać liter, podążać za ich kształtem, oddzielić ich od siebie, jak i od konkretnych ozdorników. Oglądanie graffiti wymaga dużo więcej uwagi od widza, niż odbiór street artu, który zazwyczaj pozostaje figuratywny. Tak więc określenie «bazgroły», mnie nie dotyka w żaden sposób. Daje mi tylko pewność, że mam do czynienia z ignorantem.





ADAM SZULC BARBER



Muzyka z Poznania jest warta fryzururowania

Tekst: Adam Szulc

Zdjęcie: Paweł Wieczorek



Kiedy zaczynałem naukę w męskich zakładach fryzjerskich w połowie lat osiemdziesiątych, byłem już zainfekowany muzyczno-rockowym wirusem. Mój tata Edward – muzyk amator, gitarzysta i wokalista jeżyckich zespołów big-bitowych – zaszczepił mi zamiłowanie do rytmu, przytupując nogą przy ostrzejszych dźwiękach. Ten plemienny beat zawsze był dla mnie czymś na miarę zrozumienia samego siebie. Wszystko w moim przyszłym perkusyjnym graniu musiało być podzielone równo: intro, zwrotki, refreny i zamknięcie utworu. Najlepiej w czwórkach, ósemkach albo szesnastkach. Równo i symetrycznie – jak na włosach mojego pierwszego klienta na poznańskim Łazarzu.

Zawsze wydawało mi się, że te moje dwie pasje – pozornie odległe – są do siebie bliźniaczo podobne. Wystukiwanie rytmu na kolanach, szkolnej ławce czy barberskim blacie było tym, co identyfikowało moją tożsamość. Nożyczki i grzebień, zawsze razem jak para tancerzy, słuchały radiowego hitu i tworzyły fryzurę klienta zgodnie z jego rytmem. Mówiąc „radiowy hit”, mam na myśli Program Pierwszy Polskiego Radia, który grał w zakładzie, w którym terminowałem.

Moja zawziętość w poszukiwaniu nowych form fryzjerskich była równa wielogodzinnym treningom na niby-perkusji. Grałem na przypadkowych kawałkach instrumentów, niechciany przez nikogo kartonach, maminych garnkach i prawdziwych pałeczkach kupionych w składnicy harcerskiej. Podobnie wy-



glądał mój pierwszy zestaw fryzjerskich narzędzi – grzebień, nożyczki, pierwsza brzytwa – po części kupione w kiosku Ruchu, po części zdobyte w firmowym Wenusie, a po części prezentowane przez dziadka Władka.

Dziadek był fryzjerem męskim w czasie wojny i zawsze mawiał: „Rzemiosło i fach w rękach to podstawa. Weźmiesz tobołek z narzędziami i zawsze na chleb zarobisz”. Z tym tobołkiem chodziłem po domach, strzygąc po praktykach swoich kolegów – tak samo zajaranych muzyką i fryzurami z *Dziennika Ludowego*, *Razem* i *Zarzewia*. To były peerelowskie magazyny, w których wkładki z kolorowymi plakatami rockowych muzyków inspirowały dzieciaki do wzdychania o byciu gwiazdą z odjechaną fryzurą. Wow – szal ciał i marzenie nastolatków połowy lat osiemdziesiątych!

Muzyka w naszym mieszkaniu grała zawsze. Ojciec, jak wspominałem, miał „niucha” do gitary i śpiewu – czuł przeboje na kilometr. Jego ukochani Beatlesi nigdy jednak nie trafili do mojego serca – może przez ich smutny wygląd na plakacie nad moim łóżkiem? Ale już Breakout, Czesław Niemen czy



wczesna Budka Suflera z tatowego szpulowca siali grozę w domowych pieleszach. Te dźwięki poruszały artystyczną strunę pod moim żołądkiem.

Najczęściej jednak w ratajskim bloku grało radio z nastawioną Trójką. A kiedy pojawiło się tam „Mniej niż zero” i „Szkłana pogoda” – byłem już totalnie w domu. Drapieżna muzyka rockowa, przynajmniej tak mi się wtedy wydawało, trafiła strzałą w środek mego serca jak Amor z rockowej procy Pana Boga.

Oprócz muzyki były też dwie inne zawieszki na tej strzale: perkusja i fryzjerstwo męskie. Do dziś są ze mną nierozłączne.

Mój pierwszy koncert rockowy? Poznański zespół Wanda i Banda. Klub Trops, sala wypełniona po brzegi, Wanda wyginająca się na scenie i śpiewająca „Hi Fi” i „Nie będę Julią”, a na perkusji Marek Kapłon – zasłonięty ogromnym zestawem z blachami, kotłami i dwiema centralami. Plus rozczapierzone fryzury i brody muzyków – aaaarrggghh! Ależ to grało!

Potem już poszło z górki. Miałem 13 lat, a na koncerty zawoziła mnie mama, czekając pod klubem. Kolejny był przegląd kapel w Zamku: Mr. Zoob i genialna Racja Stanu. Co to był za zespół! Absolutne objawienie i moja pierwsza wielka miłość muzyczna. Punkowe fryzury, hairmetalowy sznyt, solidne poznańskie granie, świetny kontakt z publiką i totalne wariactwo pod sceną. Miesiąc później Lombard na Rock Arenie pozamiatł wszystko. Muzyka, fryzury i... wąsy!

W 2024 roku spotkałem w Jamie Małgorzatę Ostrowską i powiedziałem jej, jak ważny był dla mnie ten koncert. „Znowu radio” jeszcze długo dźwięczało mi w uszach.

Choć poznańska scena rockowa była i jest dla mnie ważna, to punkowe zespoły, które szturmem weszły na muzyczną arenę w połowie lat 80., nie zostawiały jeńców. Po Jarocinie '84 prasa pisała o Siekierze, Moskwie i Prowokacji – nie zostawiając na nich suchej nitki: „Muzyka powinna łagodzić obyczaje, a ci to co?!” A ja? Ja wszedłem w to jak w masło.

Poznańska Zbombardowana Laleczka była wyznacznikiem trendu. Ich „Syneczku, ty nie umieraj” ze śpiewającą Gertrudą to majstersztyk punkowej elegancji. Oczywiście dopełniały go fryzury – nieodłączny element każdej subkultury.

Moi osiedlowi kumple i świeżo poznani załoganci z koncertów w Sęku, Tropsie, Agorze, Orbicie czy Nurcie korzystali z moich usług. Irokezy, fryzury na The Cure i różnorakie poszarpańce przychodziły mi tak łatwo jak punkowy rytm na cztery. Kolesie mieli do mnie zaufanie – byłem „swój”. Prawdziwi fryzjerzy nie chcieli strzyc punków i irokezów, a młodzież nie chciała chodzić do nich. Nie było zgody, a ja byłem zwornikiem tych środowisk.

W 1989 roku, jako świeżo upieczony czeladnik, miałem już trzyletnie doświadczenie w strzyżeniu poznańskich punków, gotów i niezali – i coraz większą chrapkę na więcej. Po zawo-

dówce trafiłem do technikum fryzjerskiego. Wtedy już jeździłem na Jarocin nie tylko jako fan, ale jako subkulturowy fryzjer – ten od irokezów. Piękna była ta kolejka panczurów do mojego fotela w wynajętym pustostanie.

Moje życie od początku płynęło z brzytwą i pałeczkami, ale też z piórem. Lubilem pisać: wspomnienia, branżowe rozkminy, muzyczno-ideologiczne refleksje. Czy hardcorowcy mogą mieć długie włosy, a punki krótkie? Sztampa wkroczyła nawet do subkultur. Jak śpiewał Dezerter: „Ten jest stąd, a tamten stamtąd... Więc tego chcesz słuchać, a tamtego bić”. Niewiele trzeba, by się pokłócić – nawet o fryzurę. W zakładzie fryzjerskim każdy powinien czuć się dobrze – wiedziałem to podskórnie, całym sobą.

Moje pisanie książek i recenzji może dziś wydawać się anachronizmem na miarę starożytnych hieroglifów, ale papier przetrwa stulecia. Mam nadzieję, że barbering i rockowa muzyka też.

Większość moich historii wiąże się z Poznaniem – miastem pracy i etosu, jak nigdzie indziej. W pewnym momencie zapragnąłem grać więcej. Topór, Dead Division, Parlament, Hacesja, Cymeon X, Respect – zespoły, w których grałem na perkusji, śpiewałem i pisałem teksty. Tam też fryzura musiała się zgadzać – czy była postawiona, czy położona, zawsze przygotowana przed próbą i koncertem.

W 2016 roku otworzyłem swoją wymarzoną Jamę – barber shop, który miał być trochę jak sala prób garażowego zespołu, trochę jak jarocińska kanciapa, w której strzygłem punków, a trochę jak najlepsze barbershopy świata. Najważniejsze było jedno: serce na wierzchu. I tego, wraz z rodziną, współpracującymi rzemieślnikami i – najważniejszym ogniwem – klientami, trzymamy się do dziś.

Tu muzycy z poznańskich kapel przygotowują fryzury przed koncertami. Tu można spotkać Litzę, Grabaża, Mańkovera czy członków mniej znanych bandów. Ich muzyka rozbrzmiewa wśród ścinanych włosów.

A ja – od dziecka po dziś dzień – piszę swoje życie kluczem wiolinowym, wyczesując nuty grzebieniem i przycinając je do własnych upodobań.

Tego wszystkim życzę – bycia sobą.



Litza fot. Paweł Wieczorek



„W modzie najważniejsza jest wolność!”

Renata Kupsch

Rozmawiała: **Karolina Sierszulska**

Zdjęcie: **Monika Juskowiak**

Chcemy być modni, chcemy dobrze wyglądać! Jak w tym wszystkim odnaleźć swój język? Czym się inspirować? Jak znaleźć swoją drogę? O tym rozmawiam z Renatą Kupsch, trendwatcherką i ekspertką w zakresie zarządzania w sektorach mody oraz prognozowania trendów, założycielką Fashion School w Poznaniu, szkoły mody, która we wrześniu obchodzi swoje 15-lecie.

Jak zaczęła się Pani droga związana z modą? Czy to zawsze było marzenie? Jak wyglądały poszczególne etapy Pani drogi?

To było moje marzenie, zawsze się tym interesowałam. Na początku chciałam zostać projektantką mody, wydawało mi się, że jest to największe osiągnięcie, jakie można w tym zawodzie uzyskać. Natomiast w miarę studiowania i eksploracji branży mody, doszłam do wniosku, że daje ona dużo więcej możliwości. Najpierw skończyłam Akademię Ekonomiczną w Poznaniu (dzisiejszy Uniwersytet Ekonomiczny) na kierunku Organizacja i zarządzanie, co później okazało się bardzo przydatne. To były czasy, kiedy na ogół rodzice nie rozumieli pojęcia moda, myśleli, że jest to zabawa, a nie biznes. Więc musiałam skończyć jakąś poważną szkołę, a potem mogłam zająć się czym chcę. Zaraz po tym spełniłam swoje marzenie, poszłam do Akade-

mii Sztuk Wizualnych w Poznaniu, tam ukończyłam kierunek jako projektantka mody, wymarzony zresztą. Wtedy poczułam, że branża daje mi coraz więcej, skończyłam kolejny kierunek Zarządzanie w sektorach mody, potem Prognozowanie trendów w obszarze mody i designu (oba kierunki w Warszawie), później mnóstwo kursów, w tym również letnie kursy we florenckiej Polimodzie. Trochę tego było!

W którym momencie pojawił się pomysł na założenie szkoły mody Fashion School w Poznaniu?

Po moim powrocie do Poznania, wykształceniu się, o którym wspomniałam wcześniej, okazało się, że nie istnieje już Akademia Sztuk Wizualnych, którą kończyłam. Mało tego, zamknęła się również szkoła, która kształciła projektantów mody,

tw. Schola. Pozostał tylko obecny Uniwersytet Artystyczny im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu z kierunkiem Projektowania Ubioru. Miałam zaprzyjaźnione grono osób, które było osadzone w modzie i w tej modzie pracowało, wpadliśmy więc na pomysł, żeby coś takiego otworzyć. Każdy z nas przygotował swój autorski program, swoją część i w momencie, kiedy wszystko było gotowe, stwierdziliśmy, że teraz nie ma co zwlekać i musimy otworzyć tę szkołę! Wspomniane zarządzanie bardzo mi się przydało. We wrześniu 2010 roku rozpoczęły się pierwsze zajęcia i trwają, aż do teraz, czyli już 15 lat. W tym roku zmieniliśmy siedzibę, z pierwszej przy ul. 27 Grudnia, na Stary Rynek 77/7. We wrześniu świętujemy 15-lecie, na które już teraz gorąco zapraszamy! Będzie wystawa, posiadamy pokaźną ilość materiałów, rysunków, projektów wykonanych przez studentów na przestrzeni tych lat. Więcej szczegółów niebawem w mediach społecznościowych Fashion School.

Jak ocenia Pani to, co dzieje się teraz w świecie mody?

Moda bardzo się zdemokratyzowała, to wiemy nie od dziś. To, co było przeznaczone dla jednej grupy społecznej, teraz dostępne jest dla wszystkich. Dziś moda nie ma płci – to, co kiedyś było męskie, dziś jest damskie i na odwrót – czyli trend unisex. Nie różnimy się od siebie ubiorem, wyglądamy bardzo podobnie. Dla mnie obecnie w modzie najważniejsza jest wolność. Nie mamy ram i ograniczeń, co w pewnym sensie jest pewnym ograniczeniem. Ale wolność – to jest słowo klucz!

A moda uliczna? Na które miasto spogląda Pani z uznaniem? Które z nich wyprzedza trendy albo je dyktuje?

Jest wiele miast, które są bardzo różnorodne. Na przykład moda skandynawska, która jest bardzo oryginalna, conceptualna, odważna. Świetnie funkcjonujący rynek mody, fascynujące Fashion Weeki. Muszę oczywiście wspomnieć również o Paryżu, który zawsze był, jest i będzie elegancki, szykowany. To miasto różni się od mojego ukochanego Rzymu, przede wszystkim tym, że pomimo ilości turystów, Paryż nie zatracił swojej elegancji. W Rzymie niestety trochę się to jednak zaciera, być może dlatego, że tam turysta jest inny – zwiedzający, pielgrzymujący – i jest

ich zdecydowanie więcej. Tam turysta wygląda zupełnie inaczej, niż mieszkańiec. Lokalsów możemy obserwować na pięknych ulicach, pięknie ubranych, tam wówczas dzieje się moda.

A poznańskie ulice? Co z outfitami powtarzającymi się na ulicach?

Z jednej strony jesteśmy poddani pewnemu trendowi, który już od dawna funkcjonuje w modzie, tzw. twinsy, jesteśmy do siebie po prostu bardzo podobni. Nosimy jeansy, jakiegokolwiek by one nie były, t-shirty różniące się logotypem, wyróżniamy się tylko pewnymi elementami i dodatkami, jak biżuteria, która nas personalizuje. Ale mimo to dostrzegam, że stajemy się coraz bardziej odważni, zarówno ludzie młodzi, jak i bardziej dojrzały. Co do powtarzających się stylizacji – jest to z pewnością bardzo praktyczne, bo te wspomniane jeansy i t-shirty są bazą, w której najwygodniej jest nam funkcjonować na co dzień. Jednak pozostanę przy tej odwadze, bo naprawdę zaczynamy wychodzić ze strefy komfortu i stawiać na jakiś wyróżnik. To umożliwia nam *slow-fashion*, czyli rzeczy z drugiej ręki, z różnym rodowodem, coś co jest interesujące i dostępne za niewielkie pieniądze. Uważam, że poznańskiemu nie brakuje polotu i zwracamy uwagę na ten aspekt oryginalności.

Jak znaleźć swój własny język? Jak czerpać z trendów, aby budować swoją autentyczność, a nie powielać tych samych schematów?

Pogoń za trendami nigdy nie popłacała. Czasami możemy po prostu narazić się na śmieszność, jeżeli ślepo odczytujemy trendy, koniecznie chcemy być w jakimś, który nam nie do końca pasuje, bo go np. nie rozumiemy, a jest nam proponowany. Powinniśmy postawić na autentyczność, na prawdę, na to co czujemy w sobie, co nam się podoba. Dobrze wypracować sobie też własną intuicję, która nam podpowiada, co wybierać z tych trendów, jak z nich czerpać, co dla nas jest najlepsze i w czym się najlepiej czujemy. Wówczas będziemy wyrabiać swój styl, którego nabiera się z czasem.

Cały wywiad na www.freshmag.pl

ERA BURG3RA

wypróbuj nasze smashe !



GARBARY 65

3ECIA
STRONA BARU



 @3eciaStronaBaru

 @3eciastronabaru

 @3ECIAStronaBaru

znajdziesz
nas na:





Z kortu na forum

Magda Linette

Rozmawiał: **Dawid Balcerek**

Zdjęcia: **Ola Bodnaruś**



Modowa fanka z dobrym gustem muzycznym, która kocha zwierzęta. Widziała chyba już cały świat, a jej ulubioną destynacją są... Kajmany. Założycielka fundacji, która wspiera młode talenty, a ostatnio nawet mówczyni na forum Impact'25. Dopełniając obraz bohaterki mojej rozmowy, muszę również dodać, że poznaniańska jest trzecią raketą tenisa w kraju, a na koncie ma m.in. półfinał w Australian Open. Tak, to Magda Linette i postaramy pogadać się o czymś innymi niż tenis, chociaż ciężko od tego uciec mając taką rozmówczynię.

Na początku chciałem zapytać o Twoje podejście do wywiadów. W podcaście u Natalii Szymańczyk wspomniałaś, że trener niejako Cię „zmusił” do udziału w nim. Oczywiście powiedziałas, to żartobliwie, ale jak to jest u Ciebie z tymi rozmowami w mediach? Lubisz, nie lubisz?

Nie, nie, to było troszkę w innym kontekście. Mark, mój trener, zawsze żartuje, że mam problem z opowiadaniem historii. (śmiech) Ja to sobie tłumaczę, że po prostu angielski nie jest moim pierwszym językiem, dlatego po polsku idzie mi świetnie. Lubię wywiady. Im bardziej lifestylowe, tym miłsze, bo tenisowe to są często te same pytania. A czasami jeszcze te pomeczowe to już w ogóle są trudne. Zwłaszcza te po przegranych meczach, bo jest w nich jeszcze dużo emocji. Te lifestylowe to sama przyjemność.

Skoro mowa o wystąpieniach, niedawno byłaś prelegentką na Forum Impact'25 w Poznaniu. To zupełnie inne audytorium niż kibice na stadionie.

Jeszcze dociera do mnie cała skala tego wydarzenia, więc myślę, że będę się niesamowicie stresować. Pamiętam, jak musiałam parę rzeczy przeczytać w Warszawie przy okazji wydarzenia o igrzyskach – byłam bardzo zestresowana. Te-

raz miałam więcej czasu na przygotowanie. Lubię wyzwania, więc nawet jeżeli to być może nie jest moja najmocniejsza strona, to cieszę się, że się ich podejmuję. To był ciekawy sprawdzian.

Jak się czułaś z myślą o wystąpieniu przed taką publicznością? Była trema? Jak Ci poszło Twoim zdaniem?

To było dla mnie bardzo ważne wydarzenie. Miałam okazję opowiedzieć o tym, jak sport może zmieniać rzeczywistość i jak duży wpływ mają dziś sportowcy na społeczeństwo. Mówiłam też o swojej drodze, o wyzwaniach, jakie napotykamy jako kobiety w sporcie, i o sile wspierania siebie nawzajem. Trema była ogromna, ale też pozytywna taka, która mobilizuje. Ostatecznie byłam naprawdę zadowolona, bo dostałam bardzo ciepły odbiór. Cieszę się, że mogłam podzielić się swoimi doświadczeniami w tak inspirującym gronie.

Teraz zawieję trochę nudą, bo mam pytanie o tenisa, ale nie strictly sportowe. W jednym z wywiadów ciekawie wypowiedziałas się na temat zarobków w tenisie. Powiedziałaś, że rozumiesz, iż mężczyźni mogą zarabiać więcej, bo ich gra jest często postrzegana jako bardziej efektowna i przyciąga więk-



szą publiczność. Jesteś osobą, która walczy o równo uprawnienie w kwestii wynagrodzeń. Czy mogłabyś rozwinąć tę myśl?

Pamiętajmy, że ATP i WTA to dwie różne organizacje, więc mają różne pule nagród. Czy dążymy do tego, by zarabiać tyle samo? Oczywiście! Jest już dziewięcioletni plan po wejściu inwestora, firmy CVC, który zakłada równe nagrody, przynajmniej w turniejach rangi 1000. Jestem zdecydowana za tym, by o to walczyć, ale rozumiem też, dlaczego obecnie tak wygląda sytuacja.

Wspominałaś w jednym z ostatnich wywiadów o trudnościach na początku kariery, związanych z finansowaniem wyjazdów. Novak Djoković mówił o problemach tenisistów spoza pierwszej setki rankingu, sugerując, by część środków z wygranych była przeznaczana na szkolenie oraz na wsparcie słabszych zawodników. Podobny system funkcjonuje chyba w Czechach. Jak Ty się do tego odnosisz i jak widziałabyś wsparcie dla młodych talentów w Polsce?

Nie słyszałam tej wypowiedzi Djokovicia, więc ciężko mi się dokładnie do tego odnieść. Czasami patrzę na Czechy i myślę sobie: wow. Tam zawodnik, który ma talent, ma naprawdę szansę się przebić, bo jest cały system wspierający, zorganizowany, bez tak ogromnego obciążenia dla rodziny. U nas często wszystko jest na głowie rodziców: wyjazdy, sprzęt, turnieje... Potrzebujemy w Polsce centralnego ośrodka, który będzie działał przy związku, ale też aktywnej współpracy klubów, miasta, federacji. Inaczej młodzi po prostu się wypalają albo odpadają z powodów finansowych. A szkoda, bo mamy ogrom talentów.

Czy zgodziłabyś się na oddawanie jakiegoś procentu swoich zarobków na szkolenie młodzieży?

Musiałabym zobaczyć, jak miałyby to funkcjonować. To zależy od kontekstu. Jeśli federacja rzeczywiście inwestowała we mnie to jak najbardziej jestem za. Ale jeśli to była inwestycja prywatna, to uważam, że środki powinny wracać do tych osób. Kluczowe jest, żeby to było jasno i sprawiedliwie określone. System powinien działać w obie strony: wspierać i być przejrzysty.

Zmieniając temat na nieco lżejszy, niedawno obchodziłaś urodziny. Jak je spędziłaś?

Chyba przegrałam mecz z Martą Kostyuk, więc chyba nie najlepiej. (śmiech)

Sezon tenisowy jest bardzo długi. Masz zaledwie siedem tygodni w roku na odpoczynek. Gdzie wówczas spędzasz wakacje? Co wtedy lubisz robić, gdzie się wycisasz?

A jeśli chodzi o odpoczynek, to kocham Kajmany. Jak mam wolny tydzień, to jest dla mnie idealne miejsce: cisza, natura, nikt mnie nie zna. Poznań bardzo kocham, ale tam zawsze dużo się dzieje, więc nie do końca da się tu „zniknąć”.

Myślałam, że powiesz Poznań!

Poznań to faktycznie drugie miejsce, ale tam się nie wyciszam niestety. Lubię przyjeżdżać, bo mam tu rodzinę, ale za każdym razem mam tyle spraw, że pracuję na zdwojonych obrotach. Gdy przyjeżdżam do Poznania, to bardzo się cieszę, ale jestem absolutnie wykończona, bo mam od rana do nocy jedną rzecz za drugą. Nigdy nie jest tego czasu za dużo w domu.

A będąc w Poznaniu, masz jakieś ulubione miejsca, gdzie lubisz wyskoczyć?

Jest parę miejsc, ale mimo wszystko w domu mam najmniej czasu, więc dom z kotami i psem to obecnie moje ulubione miejsca.

Jesteś kociarą? Czy może jednak psy są bliższe Twojemu sercu?

Zdecydowanie jestem psiarą! Od zawsze. Ale... odkąd w moim życiu pojawiły się koty rasy ragdoll, totalnie się w nich zakochałam. Najpierw jeden był prezentem dla mamy i siostry, potem adoptowałam drugiego. Teraz jest z mamą, ale tęsknię! Mimo wszystko moim marzeniem nadal jest pies. Na razie to trudne logistycznie, ale kiedyś na pewno.

Poza tenisem, jakie masz inne zainteresowania? Słyszałam, że interesujesz się modą, może nawet projektowaniem?

Bardzo! To coś, co mnie autentycznie relaksuje. Lubię oglądać pokazy, śledzić trendy, patrzeć, jak moda się zmienia, jak

można się nią bawić. Projektowanie to za duże słowo, bo nie umiem rysować, ale mam dużą frajdę w tworzeniu stylizacji. Moda pozwala mi wyrazić siebie czasem mocniej, czasem delikatniej, ale zawsze po swojemu.

Czy zdarza Ci się bywać na Fashion Weekach?

Chciałabym bardzo. Nigdy mi się jeszcze nie udało! Zawsze coś wypada, np. jak jest Mediolan, to ja jestem w Azji. Ale bardzo bym chciała. To jest jedno z moich małych marzeń: pojechać na Fashion Week i zobaczyć to wszystko na żywo, poczuć tę atmosferę.

Twoim oczkiem w głowie jest Fundacja. Możesz opowiedzieć, co się w niej dzieje?

Kontynuujemy nasze webinary edukacyjne, które są darmowe. To też takie małe przygotowanie przed kolejnym Kid's Dayem, który planujemy. Nasz zeszłoroczny Kid's Day wyszedł fantastycznie, jestem bardzo dumna, że udało nam się go tak fajnie zorganizować. Mieliśmy ponad 170 dzieciaków. Mam nadzieję, że w tym roku zrobimy jeszcze fajniejsze wydarzenie i może uda się zmieścić trochę więcej dzieciaków. Chociaż myślałam, że 200 to absolutny maks. Zaczynamy się już powoli szykować, bo to dobre 3-4 miesiące, żeby wszystko zorganizować.

Jesteśmy po pierwszej edycji turnieju Linette for Kids w Poznaniu. Jak wrażenia? Były to udane zawody? Znaleźliście przyszłe talenty polskiego tenisa?

Magda: Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa i dumna z tego, jak przebiegła pierwsza edycja turnieju Linette for Kids. Zainteresowanie przerosło nasze oczekiwania dzieci przyszły z ogromnym zaangażowaniem, a atmosfera była niesamowicie pozytywna. Było dużo śmiechu, emocji, ale też prawdziwej sportowej rywalizacji. I tak, myślę, że widzieliśmy kilka dzieciaków, które mają ogromny potencjał. Ale dla mnie najważniejsze było to, że każdemu się chciało, że naprawdę cieszyli się z bycia na korcie. Ten turniej nie miał tylko wyłonić zwycięzców, tylko rozbudzić pasję do sportu. Mam nadzieję, że dla wielu z nich to będzie pierwszy krok w piękną tenisową przygodę.



**„Moda pozwala mi wyrazić
siebie czasem mocniej,
czasem delikatniej,
ale zawsze po swojemu”**

Czy wiążesz z fundacją swoją przyszłość, być może bardziej intensywnie po zakończeniu kariery tenisowej?

Tak, na pewno. Dlatego też przed naszym Kid's Dayem będziemy opiekunami turnieju tenisowego na tych samych kortach. Co roku staramy się rozszerzać działania. W zeszłym roku był tylko Kid's Day, teraz dodajemy turniej. To praca, co roku będziemy starali się organizować lub pomagać w organizacji nowych wydarzeń, ale potrzebujemy też ludzi i funduszy. Idzie to wolniej, ale dużo się uczymy. Mam nadzieję, że to dopiero początki i idziemy do przodu. Super, że od samego startu działalności wszystko wychodzi nam spokojnie, ale też fajnie się rozszerza. Jakby też wszystko szło trochę za szybko, to stracilibyśmy jakieś tam panowanie, a tutaj nie mamy póki co żadnych problemów, więc jestem bardzo zadowolona i naprawdę jeszcze raz podkreślam, że jestem niesamowicie dumna z osób, które nam pomagają.

Na jednym z Twoich fanpage'ów widziałem filmik, na którym trenujesz z Agnieszką Radwańską. Wyglądało na ostrą rywalizację! Co tam się wydarzyło i czy ona to przeżyła? (śmiech)

Mam wrażenie, że Agnieszka też lubi rywalizować na różne sposoby, a ja przegrywam właściwie we wszystko, więc próbowałam znaleźć cokolwiek, w czym mogę z nią wygrać. (śmiech) To było jedno ćwiczenie, które trochę zmodyfikowałyśmy, żeby było zabawnie, i stwierdziłyśmy, że nagramy to. Ostatecznie z innego ćwiczenia wyszło nam trochę inne, ale było zabawnie. Po prostu miałyśmy dużo śmiechu na koniec treningu.

Czy w świecie profesjonalnego tenisa, gdzie cały czas ze sobą rywalizujecie, możliwa jest przyjaźń na korcie?

Myszę, że jest możliwa, ale nie jest to częste. Bardzo zażyłe relacje są rzadkie, koleżeńskie dużo częstsze. Wiele czynników musi się na to złożyć: pochodzimy z różnych kultur, roczników, mówimy innymi językami, mamy swoje zespoły, inny kalendarz, czasami nie widzimy kogoś przez długi czas. Te czynniki powodują, że komunikacja nie jest taka jak w normalnym otoczeniu. Ale zawsze znajdują się fajne, miłe osoby, które mają podobny vibe. Mam parę dziewczyn, które bardzo lubię i z którymi się

trzymam, znam od wielu lat, jak Bernarda Pera czy Jessica Pegula. Dobry kontakt mam też ze Sloane Stephens, którą znam od 15-16 lat. Czy są to moje najlepsze przyjaciółki? Nie, bo mam osoby, z którymi dorastałam, lub które widuję częściej i znam dłużej. Ale czy są to bardzo dobre znajome, koleżanki? Można tak powiedzieć. Chodzę z nimi na kolacje, mam dobre relacje.

Czy znajdujesz czas na festiwale muzyczne? Bywasz na takich imprezach?

Chciałabym, ale niestety póki co jeszcze mi się nie udało. Za to udało mi się być na paru fajnych koncertach: Eltona Johna, Bruce'a Springsteena oraz Pink. Próbowałam być na Madonnie w zeszłym roku, ale niestety nie dałam ostatecznie rady. Kupiłam też bilety na Justina Timberlake'a, na którego również nie udało mi się pójść. Teraz mam kupione bilety na jeden z letnich festiwali i zobaczymy jak to wyjdzie.

Trzymam kciuki! A czy jako osoba, która ciągle podróżuje po świecie, są jeszcze miejsca, które Cię zaskakują, które chciałabyś szczególnie polecić?

Zdecydowanie jednym z takich miejsc, które mnie totalnie zaskoczyło, było Chicago. Byłam absolutnie zachwycona centrum tego miasta. To według mnie najpiękniejsze miasto w Stanach. Byłam tam pierwszy raz – pojechałam na jeden turniej gdzieś w sierpniu lub wrześniu 2021 roku i jeszcze nie udało mi się wrócić.

Totalnie zaskoczyłaś mnie tym miejscem, bo stawiałem na zupełnie coś innego. Ok. Lubisz książki. Co ostatnio czytałaś, co mogłabyś polecić?

Teraz czytam „Sapiens”. Nadrabiam tę książkę od dłuższego czasu, była na mojej liście od niepamiętnych czasów. Jestem dopiero w jednej trzeciej. Dużo informacji, więc to nie jest taka łatwa książka, którą szybko się czyta, ale bardzo ciekawa. Bardzo polecam.

Magdo, bardzo dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.



„Don't Stop Me Now”

Joana świętuje 20-lecie za deckami i 10-lecie Tamy

Rozmawiali: Dawid Balcerek, Rafał Szaroleta

Zdjęcia: Dawid Płaczek

Joana była pierwszą osobą ze sceny klubowej w Poznaniu, z którą zrobiliśmy wywiad we Freshmagu - to było prawie 15 lat temu. Wtedy budowała swoją pozycję na scenie i snuła plany, które dzisiaj są jej rzeczywistością. Na początku czerwca świętowała swoje 20-lecie działalności na scenie klubowej, co było świetną okazją, żeby porozmawiać i wspominać o starych czasach, które nie raz dały jej w kość. Przebyła długą drogę – od organizacji kameralnych imprez nad Wartą do prowadzenia najlepszego klubu w Polsce. Dzisiaj jest uznaną DJ-ką, która na koncie ma wszystkie największe festiwale, kluby w Polsce i nie tylko. Tama, której jest współwłaścicielką, również obchodzi swój jubileusz, więc nie zabrakło pytań związanych z poznańskim klubem. Nie mogło zabraknąć tematów o pierwszym graniu, organizacji imprez, miłości do Berlina czy fascynacji polskim rapem. Zapraszamy do sprawdzenia naszej rozmowy z Joaną.

W tym roku mija Twoje 20-lecie działalności na scenie klubowej. Na pewno pamiętasz swoją pierwszą imprezę, na której debiutowałaś w roli DJ-ki. Co to był za event i gdzie?

Tak, pamiętam! Jeszcze nie jest ze mną tak źle z pamięcią – mimo że to było dokładnie 20 lat temu (śmiech). To była impreza w bydgoskim Sono Barze, grałam wtedy u boku Adama Lightal'a i Cube'a. Mam cudowne wspomnienia z tego wieczoru – to było ogromne przeżycie, mimo że grałam jako pierwsza. Ludzie przyszli od razu i zaczęli tańczyć, a chłopaki, z którymi wtedy grałam, pozwolili mi przedłużyć set. Miałam ogromny stres i treść, ale też wielką satysfakcję, gdy zobaczyłam, że ludzie naprawdę dobrze się bawią przy mojej muzyce.

Mamy 2000 rok. Wygaś Eskulap, rusza SQ w Browarze. Do tego aftery w mniejszych klubach. Natomiast w internecie ludzie wymieniają się muzyką na forum Muzikanova, a jeszcze wcześniej na positiva.info. Inna bajka, inne czasy. Jak wspominasz ten okres poznańskiej sceny?

To był naprawdę piękny czas. W SQ grałam wtedy dość regularnie, głównie na chilloutowej sali. Dla Muzikanovy nagrałam też bardzo fajny set „Garden of Sound” – właśnie w takim

klimacie. Aftery w Negativie mniej mnie interesowały, ale często grałam w Cafe Mięsna, Mezzoforte, Post Dali (gdzie prowadziłam swój cykl) i świetnych klubach, jak Estravaganza czy Cute. To był taki beztroski okres – nie myślałam wtedy o organizowaniu imprez, starałam się po prostu bywać w klubach i słuchać moich ulubionych artystów.

Jakiej muzyki wówczas słuchałaś?

Kochałam progressive house, wymienialiśmy się setami z audycji Johna Digweed'a – Kiss 100. Moi ulubieni artyści to m.in. Satoshi Tomiie, Hernan Cattaneo, Yunus, James Zabiela, Deep Dish... i wielka miłość – Sasha. Takie klimaty.

Będąc również aktywną uczestniczką imprez, z pewnością miałaś swoje ulubione wydarzenia. Na przestrzeni lat trochę się działo.

Tak, zdecydowanie! Najbardziej kochałam cykle Automatic i Import – starałam się być na nich jak najczęściej. W tym czasie zaczęłam też jeździć na festiwale i imprezy za granicą. Jak wiecie – jestem zakochana w Berlinie i bardzo często tam jeździłam, czasem nawet sama – kończyłam event w Pozna-



niu, wsiadałam w auto i jechałam prosto do Panorama Bar albo Bar 25.

No właśnie ten Berlin. Jak duży miał wpływ na Ciebie tamtejszy klimat, ludzie i muzyka? Z pewnością mocno ukształtował Cię jako DJ-kę, ale i samego człowieka.

Ogromny. Berlin był i jest dla mnie miejscem wolności – zarówno artystycznej, jak i osobistej. To tam zobaczyłam, jak bardzo muzyka elektroniczna może być różnorodna i autentyczna. Zainspirowała mnie otwartość ludzi, ich podejście do imprezowania, brak sztywnego dress code’u czy oceniania. To wpłynęło na moje podejście do tworzenia imprez – żeby były dla wszystkich. Berlin uczy też pokory – tam każdy może zagrać, ale trzeba się naprawdę wyróżniać, żeby zostać zapamiętanym.

Czujesz się spełniona muzycznie? Wiele osób z tamtych czasów już nie gra, pozostali nieliczni. Czy jednak jeszcze brakuje czegoś, żeby móc tak powiedzieć?

Tak, mogę powiedzieć, że czuję się spełniona. Przechodzę płynnie przez różne etapy, starając się zachować swój styl muzyczny. Jako odbiorczyni nie zamykam się na jeden gatunek – uwielbiam artystów wywodzących się z różnych nurtów. Sama też ewoluuję – od hipnotycznego house’u i trip-hopu (przygoda z moim kolektywem City Inside Art i współpraca z An On Bast), po hard groove z moim aliasem Bad Mistake. Czasem zaskakuję samą siebie, przygotowując się do różnych imprez. Faktycznie, z mojego pokolenia niewiele osób jeszcze aktywnie gra, ale cieszę się, że są wartościowi artyści, którzy przetrwali. Staram się z nimi utrzymywać kontakt – są to m.in. Jacek Sienkiewicz, Leon, Angelo Mike, Feelaz DJ Glasse, Bart Sucharski i kilku innych. To trochę nostalgiczne pytanie, może kiedyś je jeszcze rozwinę.

A co z tą produkcją muzyczną? Możemy się czegoś spodziewać na jubileusz?

Faktycznie – całkowicie odpuściłam produkcję, od dłuższego czasu nie byłam w studiu. Jeszcze z An On Bast zrobiłyśmy trzy nowe utwory, ale niestety to mnie tylko dobiło. Nie mam

„Najważniejsze jest poczucie jedności z ludźmi – ten moment, kiedy wiem, że wszyscy jesteśmy na tych samych wibracjach”

siły przebicia, by je wydać, i szczerze – bardzo mnie to sfrustrowało. Skupiłam się na organizowaniu eventów, prowadzeniu klubu i ledwo starcza mi sił na granie. Mam jednak wielką nadzieję, że znajdę energię, żeby wrócić do produkcji. Mam kilka fajnych pomysłów i propozycji na kolaboracje – więc jak tylko coś się zacznie dziać, na pewno dam Wam znać!

**Ostatnim przedstawicielem cyklu imprez Joana Say's był zwa-
riowany Partyboi. Poza tym zaprezentowałaś cały przekrój
muzyczny – od Rebolledo po DJ Rush'a. Było również indie
dance oraz techno. Czy te imprezy prezentują Twoje muzyczne
inspiracje? Czego słuchasz na co dzień, gdy nie grasz?**

Ha! Dokładnie tak, jak wspomniałam wcześniej – bardzo się otworzyłam na różne style muzyczne i faktycznie w ramach cyklu Joana Say's pokazałam cały przekrój moich wariacji na temat elektroniki. To są bardzo osobiste imprezy, więc wkładałam w nie dużo siebie – nie tylko jako DJ-ka, ale też jako promotor-ka i fanka muzyki.

Poza imprezami, jak wiecie, w Tamie mamy mnóstwo koncertów świetnych artystów, więc często mam przyjemność być na kilku wydarzeniach w jednym tygodniu! A nawet jeśli nie na samych koncertach, to przynajmniej na próbach – staram się wtedy chłonąć dźwięki i inspiracje.

Prywatnie kocham polski, stary hip-hop – Paktofonikę, Kaliber 44, Fisza, WWO... Ale też z ciekawością odkrywam nowe





”Prywatnie kocham polski, stary hip-hop – Paktofonikę, Kaliber 44, Fisza, WWO”

zespoły, właśnie dzięki temu, co dzieje się na scenie w Tamie. Kocham też szczerze Jon’a Hopkins’a, kiedyś nawet podarowałam mu bukiet kwiatów po koncercie, na którym przemokłam do suchej nitki, bo było straszne urwanie chmury;) słuchałam go w filharmonii berlińskiej i innych ciekawych miejscach wzruszając się do łez..

W domu staram się przebywać raczej w ciszy, żeby trochę odetchnąć... Ale za to w trasie albo na afterach mam totalnie zwariowaną selekcję! Ale o tym opowiem innym razem – to temat-rzeka.

Czy po tylu latach jesteś nadal zdeterminowana, by działać i rozwijać się w tej branży? Jest ten sam zapał, co na początku kariery?

Bywa różnie. Czasami mam taki vibe, że mogłabym przenosić góry – pełna kreatywności i pomysłów. Ale bywają też trudniejsze chwile, czuję się przybita i mam ochotę od tego wszystkiego uciec – pewnie jak każdy. Zdarza się, że po występie myślę, że poszło słabo, a innym razem wracam do domu przeszczęśliwa, bo czuję, że naprawdę udało mi się dotknąć ludzi muzyką.

Jeśli chodzi o rozwój – nie boję się zmian. Gdy coś nie działa, staram się to poprawić, a jak się nie da, to zmienić.

Jestem dosyć krytyczna wobec siebie i sporo od siebie wymagam (niestety także od zespołu, z którym pracuję), więc czasem biorę sobie za dużo na głowę. Ale determinacji mi nie brakuje – po tylu latach nadal chcę działać i iść do przodu oraz mam nadzieję, że moja ekipa ze mną wytrzyma.

To może teraz trochę pozytywu. Poprosimy o relację z Twojej najlepszej imprezy, na której grałaś.

To naprawdę trudne pytanie – ale też takie, które od razu wywołuje wielki uśmiech na mojej twarzy! W głowie mam mnóstwo pięknych wspomnień. Dla mnie najważniejsze jest poczucie jedności z ludźmi – ten moment, kiedy wiem, że wszyscy jesteśmy na tych samych wibracjach, niezależnie od tego, czy bawi się 1000 osób czy 100, czy czasami już tylko 10. Zdarzało się, że przed niektórymi imprezami – zwłaszcza tymi, które sama organizowałam i na których grałam obok swoich ulubionych artystów – dopadała mnie lekka trema. Ale potem działały się magiczne rzeczy... Pamiętam niesamowite emocje podczas setu z Tamą Sumo na jednej z pierwszych imprez w obecnej Tamie, b2b2b z Keytov i Cassy, czy totalnie spontaniczny b2b z Marvin Jamem. Niezapomniane były też momenty z Radio Slave'em czy Âme, Jus Edem, Jackiem the Rapperem, i naprawdę wieloma artystami, z którymi miałam zaszczyt zagrać, i w wielu miejscach, do których zostałam zaproszona

Uwielbiam grać na festiwalach – scena Circus na Audio-river z Davidem Delgado, czy set z Aenem na Wisłoujściu to czysta radość. Szczególnie mocno wspominam też występ, jako Bad Mistake na scenie techno na Summer Contrast, gdzie supportowałam Charlie'ego Sparksa – vibe i poczucie jedności były niesamowite.

Ale równie bliskie są mi kameralne imprezy – te długie sety w 8 Bitach czy Labie, czasem All Night Long, czasem niekończące się aftery... Trudno wybrać tę jedną «najlepszą». Mam nadzieję, że te naprawdę najlepsze jeszcze przede mną – i że zawsze będą tam moi bliscy, bawiący się razem ze mną.

Nie można uciec od pytań związanych z Tamą. To Twoje „dziecko”, które w tym roku obchodzi 10 lat. Nie zawsze było kolorowo. Pamiętasz, jak w Tamie nad Wartą, na jednym z afterów pojawili się mieszkańcy Wildy, żeby przerwać imprezę? Wtedy poleciał z głośników numer Queen – „Don't stop me now”. Symboliczny moment, bo tamta Tama się wówczas zamknęła.

Początki były bardzo ciężkie... Tak, to był jeden z tych momentów, które naprawdę zapadają w pamięć. To nie była nawet osoba z Wildy, tylko z osiedla Piastowskiego, która zgłaszała wiele imprez – nie tylko naszą. Włożyłam wtedy ogrom pracy i serca w to, żeby nad Wartą stworzyć enklawę dla muzyki. Rozumiem mieszkańców, naprawdę, ale bardzo chciałam, żeby w Poznaniu było miejsce dla elektroniki. Kiedy impreza się zakończyła, pojechałam do domu zapłakana. To był koniec tamtej Tamy – nie miałam już siły przekonywać miasta do swoich racji. Początki były naprawdę ciężkie. Ale jak powiedział jeden z moich bliskich przyjaciół: „Wszystkie trudności prowadzą do wspaniałości.” I to jest coś, co mnie wtedy bardzo podniosło. Dziś Tama już po raz piąty została wybrana Klubem Roku – i to mnie wzrusza do łez. Czasem, jak kończę set, puszczałam znów „Don't Stop Me Now” – już z łzami szczęścia.

Jednak nie zważając na trudności wstałaś, oklepałaś się i wróciłaś silniejsza. Obecnie prowadzisz jeden z największych klubów w Polsce. Zdarzało się jeszcze zwątpić w to wszystko?

Tak... I to wiele razy. Gdyby nie wsparcie moich bliskich – szczególnie Arka, mojego partnera życiowego i biznesowego – nie wiem, czy dałabym radę. Zorganizowaliśmy wtedy imprezę w B17, która finansowo była totalnym fiaskiem, ale poszliśmy za ciosem i otworzyliśmy klub w Izbie Rzemieślniczej. Sama nazwa ulicy – Niezłomnych – wydaje się być jakimś kosmicznym znakiem. Niechętnie wracam do tamtych trudnych chwil, jak np. pandemia – wtedy naprawdę myślałam, że to koniec. Wciągnęłam się wtedy w rozwój restauracji Rzemieślnicza i uczyłam się gastronomii od zera. Teraz staram się już patrzeć tylko przed siebie. Odpowiadam za wiele osób, które mi zaufały – i nie tylko z poczucia odpowiedzialności, ale z prawdziwej miłości do tego, co robię, chcę dalej działać.

A pamiętasz, w którym momencie pomyślałaś, że chcesz stworzyć swoje miejsce, że bycie DJ-ką i promotorką to za mało? To był długotrwały proces?

Pamiętam. Ale to było bardzo naturalne – jedno wynikało z drugiego. Zawsze kochałam muzykę. W moim rodzinnym

„Gdyby nie wsparcie moich bliskich – szczególnie Arka, mojego partnera życiowego i biznesowego – nie wiem, czy dałabym radę”

domu była obecna na co dzień – mieliśmy gramofon i piękną kolekcję płyt taty. Później pojawił się magnetofon, o który walczyliśmy z rodzeństwem. Rodzice dawali nam wolność wyboru, jeśli chodzi o muzykę. Potem przyszła telewizja, Daft Punk, The Chemical Brothers, The Prodigy – nagrywałam ich na VHS i słuchałam w kółko. Rodzeństwo pracowało w branży blisko związanej z klubami, dzięki nim po raz pierwszy poszłam na imprezę do Fabryki Techno i usłyszałam Christiana Vogela, potem Love Parade 1998... Nie myślałam wtedy, że zostanę DJ-ką – ale to chyba było mi pisane. Organizowanie imprez też przyszło naturalnie – żeby mieć gdzie grać i się rozwijać. A jeśli chodzi o moje miejsce – to było efektem zamknięcia wielu ważnych dla mnie przestrzeni: 8 Bitów, Cute, imprez w Adrii, Modenie czy na Bogdance. Chciałam stworzyć coś od zera, inspirowana berlińskimi klubami, które zawsze mnie zachwycaly. Ten proces, tak naprawdę, trwał przez całe moje życie.

Niedługo zaprezentujesz nowy cykl imprez w Tamie. Czego możemy się na mim spodziewać?

Nowy cykl – Joana pres. House of Tama – to dla mnie duże wyzwanie i powrót do korzeni. Na pierwszą imprezę zaprosiła mojego ukochanego Jacka Sienkiewicza, który w tym roku obchodzi 25-lecie wydawnictwa Recognition. Do tego Maki Polne – przyjaciel, który rezyduje na stałe w Berlinie i reprezentuje Club der Visionäre. Całość odbyła się w przestrzeni Restauracji Rzemieślnicza, którą specjalnie zaaranżowaliśmy – z ciepłym

światłem, klimatycznym dancefloorem i miejscem do rozmów – i wewnątrz, i na zewnątrz. Zadbałam o każdy detal – od karty baru z moimi ulubionymi koktajlami po świecę i kwiaty. To było wydarzenie na ok. 100 osób – bardzo kameralne i idealne dla tej muzyki. Już niedługo ogłoszę kolejne smaczki i artystów związanych z tym cyklem – zapraszam z całego serca.

Jak wspominałeś wcześniej, kolejny raz zdobyliście nagrodę publiczności Munoludy w kategorii Klub Roku w Polsce. Najtrudniej utrzymać się na szczycie. Czy można postawić sobie jeszcze wyżej poprzeczkę niż obecnie?

To ogromny zaszczyt i naprawdę wielkie zaskoczenie. Serio – nie spodziewałam się, że ludzie tak nas kochają i po raz piąty oddają na nas głosy. Bardzo chciałabym cały czas „gonić króliczka” – nie popaść w rutynę, nie spocząć na laurach. Czas pokaże, ale ja zrobię wszystko, żeby nie zawieść naszych gości. Cały czas kombinujemy, jak jeszcze bardziej uprzyjemnić czas spędzany w Tamie. Pomysłów mi nie brakuje – i chyba to mnie najbardziej trzyma przy tym wszystkim.

Ok, a jakie plany wiążecie z Tamą w nadchodzącym letnim okresie?

Jak co roku działamy też na Dziedzińcu – więc serdecznie zapraszam, szczególnie na wydarzenia związane z 10-leciem Tamy. Ogromną radością jest dla mnie to, że udało mi się zaprosić artystów, którzy grali na pierwszej Tamie na Garbarach – uwielbiany przeze mnie Mooryc i Rysy zagrają już 5 lipca, Hector Oaks – 25 lipca, a VTSS – 18 czerwca, jeszcze w murach Tamy, bądź jeszcze kilka imprez z ciekawymi artystami, ale to niespodzianka.

A jakie Ty masz plany wobec swojej osoby?

W najbliższej przyszłości chciałabym bardziej skupić się na swoim graniu, dobrze przygotować się do sezonu. Zostałam zaproszona na wiele imprez i festiwali. A dalsze plany? To bardzo dobre pytanie – jak zresztą wszystkie w tym wywiadzie. Jak tylko się wyklarują – na pewno będzie okazja, żeby znowu pogadać.



AUDIORIVER

TOGETHER
WITH **T** electronic
beats

11-13.07.2025 / ŁÓDŹ

**ADRIATIQUE • BEN BÖHMER
CHARLOTTE DE WITTE • CHASE & STATUS
DJ HEARTSTRING • GESAFFELSTEIN • HI-LO
HOT SINCE 82 • I HATE MODELS • MALL GRAB
NETSKY • SARA LANDRY • SEVDALIZA
TIËSTO • WHOMADEWHO**

I WIELU INNYCH

SPRAWDŹ NA WWW.AUDIORIVER.PL



WSPÓŁORGANIZATOR



PARTNERZY



Bank Polski

LECH

Scena Żelazna



Red Bull



TRULY
UNIQUE
zone

ON
LEMON

muso

Poland (POM) Rozwój

U progu rewolucji klubowej

Tekst: Kuba „Mentalcut” Smogur

Lata 90 to początki klubów, które znamy w dzisiejszej formie. Polska otworzyła się na świat. Fascynowało nas wszystko co nowe. Na imprezach było coraz mniej wodzirejów puszczających płyty, a ich miejsce zajęli DJ-e miksujący muzykę. Scenę klubową budowały subkultury. Inspirację stanowiły stacje muzyczne w telewizji satelitarnej, sprowadzane z zachodniej Europy kasety video z pokazami DJ-ów i winyle, po które wielu jeździło wtedy do Berlina. To wszystko ukształtowało środowisko klubowe na wiele lat. Obecnie znajdujemy się u progu kolejnej rewolucji, która zmieni kluby muzyczne na całym świecie, nie tylko w Polsce.

DJ, to już nie brzmi dumnie

Branża DJ-ska od wielu lat zмага się z problemem niskich wynagrodzeń. W 2003 roku za kilkugodzinny set otrzymywałem 200–300zł. W kolejnych latach moje zarobki rosły, docierając w 2008 roku do 800–900zł i nie były zjawiskiem wyjątkowym na tle całej branży. W tamtych latach minimalna pensja krajowa wynosiła 845zł. Od tego czasu wysokość djskiego honorarium spada w stosunku do średnich zarobków, a także w stosunku do pensji minimalnej. Trudno wyobrazić dziś sobie przeciętnego DJa zarabiającego ponad 3500zł za 3 godziny pracy. Większość klubów płaci kilkaset złotych za set, a wąska grupa najpopularniejszych DJ-ów może liczyć na stawki powyżej 1500zł. Często słyszę o grających za 100zł i pokrycie rachunku na barze. Gdy prawie każdy w naszym kraju zarabia więcej niż kilkanaście lat temu, honoraria DJ-ów praktycznie stoją w miejscu. Oczywiście warto zwrócić uwagę, że na początku lat 2000 DJ-e zarabiali wyjątkowo dużo w stosunku do innych zawodów i cieszyli się nawet umiarkowanym prestiżem. Obecnie sytuacja jest zupełnie inna, a podaż usług didżejskich wzrosła wielokrotnie. Jest to spowodowane przede wszystkim, niskim progiem wejścia do tej profesji. Jeszcze 25 lat temu kupno sprzętu i płyt stanowiło ogromną barierę finansową, również nauka miksowania dla wielu osób była wyzwaniem. Dziś już po kilkutygodniowym kursie można zaliczyć przyzwoity występ, a większość bywalców klubów nawet nie zauważy, że gra osoba początkująca. Zarówno dostępność muzyki, jak i technologia, na której oparto oprogramowanie do miksowania w znaczącym stopniu ułatwiły wejście do zawodu. To, co w latach 2007–2010 stanowiło nadzieję na „demokratyzację” dijeingu, dziś jest jego głównym problemem. W rezultacie wynagrodzenia nie rosną w zadowalającym tempie, a DJ-ami zostało mnóstwo przypadkowych osób: influencerzy, celebryci internetowi, fotografowie... dla których jest to kolejna poboczna działalność, umożliwiająca zdobycie większej popularności.

Placówki gastronomiczne typu uzupełniającego

Zmiany nie ominęły również klubów. Przełomowy okazał się czas pandemii. Branża muzyczna bardzo ucierpiała w czasie tamtych wydarzeń. W całej Europie mnóstwo klubów ogłosiło upadłość. Niestety nie są prowadzone w Polsce badania sytuacji ekonomicznej klubów muzycznych, ale ten segment rynku uważa się formalnie za „placówki gastronomiczne typu uzupełniającego”, a już o samej gastronomii wiemy dużo. Od 2019 roku zamknięto ponad 20 tysięcy punktów gastronomicznych w naszym kraju. Ceny energii, koszty pracy i mały popyt okazały się nie do udźwignięcia głównie dla małych firm prowadzących handel detaliczny i gastronomię. Dobrze radziły sobie duże podmioty – sieci restauracji, hoteli, tak jak zazwyczaj dzieje się to w czasach kryzysu, jednak w środowisku klubowym takie raczej nie występują. Wzrosły także koszty utrzymania, co szczególnie uderzyło w ludzi młodych, stanowiących fundament klubowej publiczności. Prawdopodobnie najgorsza sytuacja jest jednak w Wielkiej Brytanii, gdzie jeszcze w 2013 roku istniało 1700 klubów, a dziś jest to mniej niż 800. W Londynie biuro burmistrza uruchomiło nawet specjalną grupę zadaniową, której celem jest ożywienie życia nocnego i ratowanie zagrożonych zamknięciem lokali. Wyjście do klubu w każdym państwie europejskim stało się luksusem, na który nie każdy może sobie pozwolić. Ceny biletów na koncerty w Polsce tylko w ciągu ostatniego roku wzrosły o 19%. Rosną także ceny napojów, nie tylko alkoholowych. Problemy ekonomiczne to tylko jedno z wielu wyzwań stojących przed branżą muzyczną.

Czekając na sobotę

Pojawiły się alternatywne formy spędzania wolnego czasu i wyjście do klubu nie jest już główną rozrywką, jak było to jeszcze kilkanaście lat temu. Film dokumentalny „Czekając na sobotę” mógł powstać w tamtym czasie równie dobrze w dużym mie-

ście, gdzie młodzież skupiona w ramach subkultur, żyła kolejną imprezą i była to dla nich jedyna okazja, by posłuchać ulubionej muzyki, w dodatku w większej grupie. DJ-e grali utwory szerzej niedostępne, więc warto było iść do klubu z myślą o ich setach. Dziś Internet umożliwia łatwe dotarcie do praktycznie każdej muzyki na świecie. Technologia stworzyła świat dla wielu osób bardziej interesujący, niż rzeczywistość.

Alkohol? Nie, dziękuję!

Wymyślony jeszcze w latach 90-tych model funkcjonowania klubów opiera się głównie na sprzedaży alkoholu i nie wymaga wielkiej kreatywności. „Bar plus DJ” – to najczęściej wystarczało, by spokojnie prowadzić działalność. Przedstawiciele Pokolenia Z, czyli osoby, które przynajmniej w teorii powinny odwiedzać kluby najczęściej, nie sięgają już po alkohol tak chętnie. W Wielkiej Brytanii 39% ankietowanych pomiędzy 18 a 24 rokiem życia nie pije alkoholu wcale. W Polsce młodzi ludzie piją o 20% mniej niż poprzednie pokolenia, pomimo zwiększonej dostępności alkoholu. W 2019 roku za średnie miesięczne wynagrodzenie można było kupić 1645 butelek piwa, natomiast dziś jest to już 1798, a mimo to sprzedaż w grupie wiekowej 18-30 lat spada. Dla klubów muzycznych opartych na starej formule to prawdziwy dramat. Problemy ekonomiczne w końcu przeminą – niższe stopy procentowe będą pośrednio generować popyt, wzrosną płace i poziom konsumpcji. Natomiast zmiany społeczne i kulturowe nie są czymś, z czym można sobie tak łatwo poradzić.

Częstotliwość imprezowania

W krajach wysoko rozwiniętych poważnym problemem jest starzenie się społeczeństw. W Polsce od lat 90-tych regularnie spada liczba osób w wieku do 38 lat i rośnie liczba osób po 70 roku życia. Prognozy wskazują, że ta tendencja jeszcze bardziej się pogłębi. Wewnętrzne migracje z prowincji do dużych miast trochę niwelują negatywny efekt tego zjawiska dla klubów, ale nawet to nie zmieni przyszłości. Zresztą nie

„W Polsce młodzi ludzie piją o 20% mniej niż poprzednie pokolenia, pomimo zwiększonej dostępności alkoholu”

tylko branża muzyczna będzie się borykać z tym problemem. W tym kontekście, rozkwit kultury klubowej w Afryce i Ameryce Południowej nie dziwi. W krajach rozwijających się społeczeństwa są młodsze, a artyści dużo bardziej kreatywni, niż w Europie i USA. Zwróćcie na to uwagę, oglądając następnym razem Boiler Room z Kolumbii czy Etiopii. Najciekawsze zjawiska w muzyce dzieją się na tzw. globalnym południu. W Polsce stosunkowo dobrze radzą sobie kluby spełniające oczekiwania klientów po 40-stce. Właśnie ta grupa wiekowa dorastała na fali największych sukcesów rodzimego clubbingu, w przeciwieństwie do młodzieży nie stroni od alkoholu i posiada ustabilizowaną sytuację finansową. Być może te nieliczne kluby, które w niedalekiej przyszłości zostaną na rynku, będą skierowane właśnie do 40/50-latków. W Europie Zachodniej nikogo nie dziwi obecność starszych osób na parkiecie. Możliwe, że Polska dużych miast pójdzie w tym kierunku. Głównym problemem okazuje się jednak częstotliwość imprezowania – im starszy klient, tym rzadziej wychodzi do klubów.

Kawowe rejwy

Znamy główne czynniki napędzające zmiany, ale co dalej? Czy kluby czeka nieuchronny koniec? Odpowiedzią na mniejsze spożycie alkoholu i trend zdrowego życia są nocne „sober raves” – imprezy, na których nie podaje się napojów alkoholowych, a także poranne „coffee parties”. Te ostatnie nie są nowym zja-

wiskiem. Pierwsze imprezy, podczas których alkohol zastępowano kawą i smoothies organizowano w 2013 roku w Londynie i Nowym Jorku. Obecnie przeżywają renesans. Odbywają się z najczęściej w weekendy i często poprzedzone są np. sesją jogi lub innym rodzajem aktywności. Polskie „kawowe imprezy” cieszą się również dużą popularnością. Osoby wpisujące się w trend zdrowego życia mają szansę potańczyć bez zarywania nocy, poznać kogoś nowego i nie są już skazane na budowę relacji międzyludzkich w mediach społecznościowych czy aplikacjach randkowych. Jest to szczególnie istotne w czasach post-pandemicznej epidemii samotności. Kryzys sanitarny pozostawił znaczące ślady w relacjach międzyludzkich, głównie wśród ludzi młodych, którzy dla branży rozrywkowej są kluczową grupą.

Imprezy bez alkoholu i „kawowe rejwy” z pewnością są godne uwagi i warto na nie wpaść. Mam jednak wątpliwości czy stanowią realną odpowiedź na problemy, z którymi borykają się właściciele lokali, DJ-e i twórcy muzyki elektronicznej. W większym stopniu uważam je za biznesowy sposób radzenia sobie z trudną sytuacją i nie sądzę, by kreowały trwałe zjawiska kulturowe. Z punktu widzenia przedsiębiorcy wydają się doskonałym rozwiązaniem – gdy publiczność stoi od alkoholu, proponujemy mocktaile, gdy chcemy by tańczyli w niedzielę rano, oferujemy kawę i napoje energetyczne. Moim zdaniem, te wydarzenia to kolejne produkty z niewielkim potencjałem kulturotwórczym. Zakręty historii, w tym przypadku klubowej, często generują pomysły, które w założeniu mają zmienić świat. Z reguły kończą jako dodatek do głównego nurtu, o ile potrafią przetrwać w szczycie popularności dłużej niż kilka lat.

Rozwiązanie?

Zaskakująco dobrze radzą sobie w Polsce festiwale muzyczne. Oferują wszystko, czego nie znajdziemy w zwykłym klubie. Kilka scen, zróżnicowana muzykę, inne formy sztuki, projekcje filmów, warsztaty, a nawet wykłady czy panele dyskusyjne. Kompleksowe podejście do kultury jest tym, co przyciąga

publiczność. Wg badań najliczniejsza grupa na festiwalach to osoby w wieku 24-35 lat, pochodzące z dużych miast. Właśnie tych ludzi w klubach brakuje najbardziej. Być może kierunkiem, w którym powinna pójść branża muzyczna jest pewna „hybryda” zapożyczająca z festiwalu ideę całościowego doświadczenia kultury, bez największych wad wydarzeń na kilkadziesiąt tysięcy osób. Dobrym przykładem jest gdańska 100cznia. Oryginalna, kontenerowa architektura, food trucki, urozmaicona muzyka, street art w galerii Layup, boisko do koszykówki, skatepark – to tylko część bezustannie zmieniającej się i odpowiadającej nowym wyzwaniom oferty 100czni. Co więcej, publiczność otrzymuje „festiwalowe” doświadczenie kultury, bez konieczności zakupu drogich biletów z wielomiesięcznym wyprzedzeniem i bez noclegów w niebotycznych cenach. To, co odróżnia 100cznię od podobnych przestrzeni w innych miastach i powinno stanowić inspirację, to niebanalne połączenie muzyki, gastronomii, sztuki i inicjatyw społecznych.

Poczucie pokrewieństwa

Od samego początku kluby były miejscem, gdzie ludzie mogli poczuć się częścią społeczności skupionej wokół idei, muzyki i tożsamości. Dla wielu osób jest to jedyne miejsce, gdzie czują się bezpieczne w wyrażaniu siebie – w tym miejscu warto wspomnieć, jak dużą mają wartość dla społeczności LGBT+. Kluby nie znikną, a tym co zawsze będzie trzymać je przy życiu jest naturalne pragnienie tańca i przeżywania muzyki wśród ludzi, z którymi czujemy więź – opartą także na podobnym guście muzycznym. Parkiet w nocnym klubie daje nam wrażenie intymności, możliwość bycia sobą, a jednocześnie nie wiąże się z samotnością, bo mamy wokół siebie ludzi myślących i czujących podobnie. To spontaniczne poczucie „pokrewieństwa” z nieznanymi jest największą zaletą klubów, fundamentem, bez którego nie mogą istnieć, wartością, której nie zastąpi żadna znana nam technologia. Znaleźliśmy się jednak u progu rewolucyjnych zmian, a kolejne lata wydają się pod tym względem niezwykle interesujące.



DJ to nie przycisk „play”

O realiach pracy, która nie mieści się w tik-tokowej rolce

Tekst: Karolina Bachorowicz aka Grażyna Biedroń

Po ponad ośmiu latach przygody za deskami coraz wyraźniej dostrzegam, jak wiele osób buduje sobie obraz DJ-a na podstawie pojedynczych klisz – scen z kultowych filmów, wy-cinków popkultury czy tik-tokowych rolek, które raczej karmią fantazję niż pokazują realia. Taki wizerunek bywa kuszący: błysk, impreza, guzik play. Ale co ma on wspólnego z rzeczywistością, wielowarstwową rolą DJ-a i stylem życia, który kręci się wokół muzyki elektronicznej – często splecionym z niepewnością, presją i koniecznością ciągłego balansowania między pasją a codziennością? To pytanie, które wraca do mnie regularnie – zwłaszcza wtedy, gdy słyszę: „Fajnie masz, tylko grać imprezy i się bawić.”

„Też bym tak mógł, puścić sobie kilka piosenek, pouśmieczać się i pójść do chaty”.

Techniczne umiejętności DJ-a oraz sztuka budowania setu – czyli odpowiednie prowadzenie „muzycznej historii”, płynne zgrywanie tempa, pracy z energią tłumu – zostały przez wielu zredukowane do prymitywnego „puszczania piosenek”. Przychodzisz, wciskasz jeden guzik i... serio? Jeszcze sztuczna inteligencja nie wymyśliła, jak cię zastąpić? Niejednokrotnie zanim poszłam „popuszczać piosenki z bananem na twarzy”, spędzałam kilka godzin na diggowaniu – wyszukiwaniu nowych utworów, analizowaniu ich w kontekście slotu, który miałam zagrać (slot to określony przedział czasowy przypisany DJ-owi w line-upie). Odpalałam sprzęt kilka dni wcześniej, by sprawdzić, które kawałki dobrze ze sobą rezonują – do tego stopnia,

że po ich zmiksowaniu powstaje nowa jakość, zupełnie inna materia. Układałam numery w kolejności pozwalającej przeprowadzić publikę przez całą opowieść: intrygujący początek, kulminacyjną euforię, a potem miękkie lądowanie. Przychodziłam do klubu z poczuciem pełnego przygotowania – aż tu nagle tłum mnie zaskakiwał. Czułam, że chcę mocniej, intensywniej, szybciej. No więc... c***, bombki strzelił pierwotny plan – trzeba było zaufać instynktowi i improwizować. I właśnie w tej zdolności do elastyczności, czytania nastrojów, reagowania tu i teraz – kryje się prawdziwa sztuka DJ-ingu. Nie w przycisku.

„Ja bym tak nie mógł – jeździć co chwilę do innych miast, nie spać po nocach, zaniedbywać bliskich.”

Prawdopodobnie masz rację. Jedni wstają w nocy do płaczącego dziecka, inni – na swój DJ-set. Są też tacy, którzy w swojej codzienności łączą życie rodzinne z regularnymi wyjazdami. Wiesz, co łączy wszystkie te trzy grupy? Trzeba to po prostu kochać. Swoją rolę – i siebie w niej – w pełnej aktywności, w każdej odsłonie. Regularne weekendowe podróże z miasta do miasta, obejmujące wspólne kolacje, robienie soundchecku, dotarcie do hotelu, a później obecność w klubie, potrafią być energetycznie wyczerpujące. Różne godziny grania nie zawsze pozwalają w pełni odespać poprzednią dobę. Czasami, po takim intensywnym weekendzie, siedząc w Warsie, dostajesz wiadomość od przypadkowej osoby, która postanowiła napisać: „Zrobiłaś/zrobiłeś mi tą imprezę – to było grube! ”. Można by powiedzieć, że to ego zostaje wtedy nakarmione, ale tak naprawdę – jeśli robisz coś z pełną pasją – najbardziej cieszy się serce. I wtedy poniedziałek w korpo, jeszcze przed pierwszą kawą, nie wygląda aż tak memicznie, kiedy przypomnisz sobie tłum ukontentowanych mordek na parkiecie, skandujących Twoje imię.

„Jak to nie pijesz, przecież wszyscy DJ-e to ćpuni i alkoholicy.”

Jak dobrze wiemy, stereotypy nie biorą się z kapelusza, ale nie dzieje się dobrze kiedy stają się wąską generalizacją. Filmy takie

jak *Berlin Calling*, *It's All Gone Pete Tong* czy *XOXO* w pewnym stopniu wpłynęły na sposób, w jaki przeciętny odbiorca postrzega DJ-a – często kreując obraz osoby uzależnionej, emocjonalnie niestabilnej, żyjącej w ciągłej euforii lub autodestrukcji. Choć niektóre z tych produkcji ukazują również ciemne strony tej profesji z intencją krytyczną lub refleksyjną, ich efekt bywa uproszczony – szczególnie w odbiorze kogoś, kto nie ma styczności z realiami pracy DJ-a. W rezultacie powielany jest stereotyp DJ-a jako ćpuna lub alkoholika, który nieustannie imprezuje, zamiast artysty, kuratora dźwięku, organizatora energii tłumu i często perfekcjonisty ciężko pracującego na zapleczu sceny. Oczywiście, nie da się zaprzeczyć, że substancje psychoaktywne są obecne w tej kulturze – były, są i zapewne będą, a wielu artystów sięga po nie z różnych powodów. Ale rzeczywistość nie jest zerojedynkowa – świat DJ-ów to także osoby świadome, dbające o zdrowie psychiczne i fizyczne, działające profesjonalnie i z pasją, często w opozycji do hedonistycznych klisz, które dominują w filmowych narracjach.

„To super, że masz swoją zajawę, życie z pasją to istna sielanka”

Gdyby naprawdę tak było, żaden artysta nie rozwijałby się ani jako twórca, ani jako człowiek. Branża DJ-ska to nie romantyczna wizja pracy marzeń, tylko ciągle negocjacje z asertywnością, zaniżanymi stawkami, opiniami, które potrafią być bolesne, oraz wiecznym wyścigiem ego – zarówno swojego, jak i cudzych. Za pozornie „czysto biznesowymi” kwestiami kryją się momenty, w których trzeba stanąć do walki o swoją wartość. To właśnie w tych sytuacjach – gdy ktoś próbuje mi coś zarzucić, podważyć moje kompetencje albo rozlicza mnie z pozycji wyższości – nauczyłam się najwięcej. Pewność siebie i samoświadomość nie są mi dane raz na zawsze. Wypracowałam je w ogniu konfrontacji. Ale to nie znaczy, że jestem na wszystko gotowa – bo życie potrafi przywalić z zaskoczenia, a DJ-ing to ciągła współpraca z różnymi światami: promotorami, bookerami, innymi DJ-ami, organizatorami imprez, technikami i klubami, z którymi nie zawsze da się dogadać.



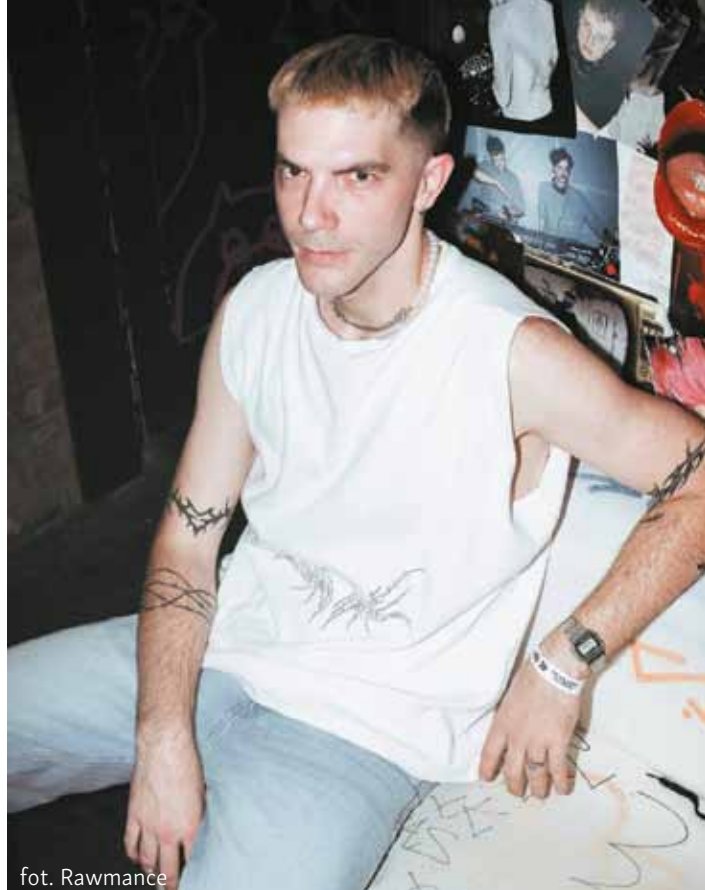
fot. Monster

Nie każda kolaboracja to muzyczna magia. Czasem wspólny set to zgrzyt już od pierwszego numeru, a impreza, która miała być ważnym manifestem, rozpada się pod ciężarem oczekiwań, pieniędzy albo zwyczajnego ludzkiego ego. Kolektywy się rozjeżdżają, bo każdy idzie w swoją stronę – nie tylko muzycznie, ale życiowo. Kluby tną budżety, a publika coraz częściej zostaje w domach, bo wolą Netflix niż line-up. Do tego rynek regularnie „wypluwa” ogromną liczbę świeżych DJ-ów, którzy – zaczynając od bardzo niskich stawek – wpisują się idealnie w realia klubów szukających oszczędności. Bez edukacji muzycznej, bez świadomości kontekstu kulturowego, ale za to z playlistą idealnie dopasowaną do TikToka. I nie chodzi o to, żeby nie było świeżej krwi – tylko o to, że ten system, który miał być wspólnotą i kulturą, coraz częściej działa jak taśma produkcyjna. Pasja? Jasne. Ale z domieszką twardej skóry i zimnej kalkulacji.

Branża didżejska, jak wiele innych, boryka się z poważnymi problemami – seksizmem, ageizmem czy gatekeepingiem. Jak Twoim zdaniem możemy skutecznie stawiać czoła tym wyzwaniom na większą skalę, aby tworzyć bardziej otwarte i inkluzywne środowisko dla wszystkich artystów?

Monster (DJ-ka, członkini inicjatywy „Oramics”): Muszę przyznać, że po tylu latach na scenie te kwestie osobiście mnie nie poruszają tak mocno, być może dlatego, że jestem na nie odporna, ale na pewno również dlatego, że dużo się na tej scenie zmieniło. Rozmowy o zróżnicowanych line-up’ach nie kończą się już awanturą, tylko są dość normalną sytuacją poruszaną przez wiele osób. Kiedyś same poruszanie tematu, np. obecności kobiet w składach imprez czy festiwali, nie było tak oczywiste i można było spotkać się z nieprzychylnymi komentarzami na swój temat czy zarzutami bycia osobą zbyt radykalną i oderwaną od rzeczywistości. To samo jeśli chodzi o interakcje, np. z osobami technicznymi w klubie, które często zakładały, że kobietom należy wytłumaczyć jak się używa sprzętu – dzisiaj coś takiego jest nie do pomyślenia. Natomiast, niestety, nadal kobiety produkujące muzykę oskarża się o to, że zrobił to za nie ich chłopak albo jakiś inny ghost producent. Na szczęście dzięki inicjatywom takim jak Oramics, które organizowały wiele warsztatów z produkcji muzyki, kobiety mają większy dostęp do edukacji i wymiany doświadczeń w tych kwestiach.

Odnosnie ageizmu i gatekeepingu, myślę, że można te dwa pojęcia połączyć, gdyż dostęp do przydatnych kontaktów w klubach czy festiwalach jest dla młodych osób mocno ograniczony bez znajomości ze starszymi osobami na scenie, które często stoją za sterami jeśli chodzi o bookingi. Przebicie się przez siatkę kontaktów budowanych latami, często opierających się na przyjaźniach, sympatiach czy animozjach, może stanowić duże wyzwanie dla osób, które stawiają pierwsze kroki na scenie. W przypadkach niektórych promotorów odnoszę wrażenie, że osobista znajomość jest czasami ważniejsza niż obiektywne osiągnięcia danej osoby na scenie i, szczerze mówiąc, nawet nie wiem jak z tym walczyć. Radzę po prostu robić swoje, a ludzie, którym zależy na jakościowej muzyce sami do nas przyjdą. Na szczęście, jeśli chodzi o edukację, to praktycznie każdy klub prowadzi teraz jakąś formę warsztatów czy szkoły didżejskiej, więc dostęp do samej wiedzy stał się dość powszechny, a pamiętam, że gdy ja zaczynałam, była to raczej wiedza tajemna. Np. ja uczyłam się grać z tutoriali na YouTube.



fot. Rawmance

Jak radzisz sobie z presją ciągłego promowania siebie i swojej muzyki? Czy nie czujesz, że ta nieustanna konieczność „handlowania” własnym wizerunkiem odbiera Ci przestrzeń do prawdziwej twórczości i odpoczynku?

Rawmance (DJ, założyciel znanego trance’owego cyklu „E-ROTICA”): Gra w „club culture” to nie tylko granie muzyki – to też gra wizerunkowa. Ale jeśli wizerunek jest prawdziwy i spójny z tym, kim jesteś lub co chcesz przekazać, to nie wymaga aż takiego wysiłku – raczej konsekwencji. Wiadomo, że bywa presja, bo z tyłu głowy jest to „muszę być obecny”, ale traktuję to jako część procesu twórczego. Dla mnie komunikacja, forma przekazu, nawet to, jak wizualnie wygląda mój profil – to wszystko jest częścią artystycznego wyrazu. Bawię się tym, eksperymentuję i to też mnie rozwija jako twórcę. Nie zawsze jest przestrzeń, żeby to robić w pełni i na top poziomie, ale zamiast myśleć o tym jako o „handlowaniu wizerunkiem”, patrzę na to jak na jeszcze jeden kanał do opowiedzenia historii. I kiedy masz z tego fun – to w ogóle zmienia perspektywę.



Miejska dżungla

Estrada w Centrum

Tekst: **Aleksandra Łodziewska**

Zdjęcia: **Malwina Łubieńska**

Tych, którzy znają Estradę Poznańską, nie trzeba przekonywać, że potrafi zamieniać przestrzeń miasta w tętniące życiem kulturalne wyspy. Ale być może są jeszcze tacy, którzy o „Estradzie w Centrum” usłyszą dopiero teraz – i nie ma lepszego momentu, by dołączyć! Ten nowy letni projekt, organizowany przez Miasto Poznań i Estradę Poznańską, udowadnia, że lato w mieście może być głębokim, zmysłowym i wielowymiarowym doświadczeniem. A do tego – całkowicie bezpłatnym! Hasło tegorocznej edycji – „odmienny sposób postrzegania” – nie jest pustym frazesem. Przez całe lato, w samym sercu Poznania – na Starym Rynku, Placu Wolności i Placu Kolegiackim – odbędzie się ponad 30 wydarzeń, z których wiele bada granice percepcji: poprzez dźwięk, ruch, obraz, słowo i ciszę.

Muzyczne otwarcie i czerwiec pod znakiem zwycięzców open calla

Sezon rozpoczął się 1 czerwca – hucznie, bo od koncertów na scenie Quadro. Wystąpiły dwa zespoły: T'ien Lai i Ninos du Brasil, które zapewniły słuchaczom wyjątkowe doznania – mieszankę noise'u, batucady, samby i elektroniki. Było zaskakująco i energetycznie. Dwa dni później na dobre ruszyły wydarzenia wyłonione z zimowego open calla Estrady Poznańskiej.

2 czerwca Borys Korzyb zaprosił uczestników na warsztaty „Ślady miasta” – poszukiwanie piękna w miejskich pęknięciach i ryśach. W kolejnych dniach odbyły się poetycko-performatywne spacer z kolektywem Osesi, warsztaty analogowej fotografii z Beatą Ziębą-Zaborek, a także warsztaty rysunkowe „Złamana Kredeczka” Gosi Bartosik. Nie zabrakło również warsztatów śpiewu tradycyjnego prowadzonych przez Ulyanę Tobere, Oliwię Abravesh i Malwinę Paszek. Dla każdego – coś wyjątkowego!

Muzyka dla ciała i duszy

Muzyczny trzon programu stanowią starannie dobrane koncerty, balansujące między eksperymentem a transowością. Na scenach rozlokowanych w centrum miasta pojawiają się m.in. włoska formacja neo-psychodeliczna Julie's Haircut (31 lipca), eksplorująca brzmienia od garażowego rocka po elektronikę, jazz i drone; brazylijski miks lo-fi indie rocka, noise'u i afrobeatu – Oruã (31 lipca); La Forasteria (29 sierpnia) – argentyńska fuzja elektroniki i latynoskich korzeni; oraz Upupayãma (29 sierpnia), łącząca organiczną psychodelię z muzyką tradycyjną i eksperymentem dźwiękowym. Polską scenę reprezentują m.in. balansujący między prymitywnością a futurystycznymi brzmieniami BLED, ambientowy Młyn, hipnotyzujący Dynasonic oraz kobiece trio Druhny – reinterpretujące folk w sposób bliższy performansowi niż tradycyjnemu śpiewnikowi.

Teatr pod gołym niebem

Wśród wydarzeń teatralnych dominują formy otwarte – dosłownie i metaforycznie. Spektakle prezentowane w przestrzeni publicznej, jak „Kamuflaż” Teatru 21 (16 lipca) czy „Very Sad” duetu Gruba i Głupia (30 lipca), podejmują tematy cielesności, widzialności, dojrzewania i transformacji – również tych społecznych. Nie boją się intymności w przestrzeni publicznej, traktując ulicę jak scenę, lustro i forum jednocześnie. „JaWa” autorstwa Jakuba Turkowskiego i Katarzyny Nowackiej



Kulturalny Rave na Quadro, trio Molar

(20 sierpnia) to przykład performansu granicznego – zawieszonego między dokumentem a poezją codzienności. Z kolei „Kosmiczna podróż Guliwera” Kliniki Lalek (27 sierpnia) otwiera drzwi dla najmłodszych, nie rezygnując przy tym z głębi przekazu.

Kino pod gwiazdami

Nieodłącznym elementem „Estrady w Centrum” jest kino plenerowe na Placu Wolności. Tegoroczny program filmowy to świadoma selekcja tytułów – intensywnych, poruszających, komentowanych i wielokrotnie nagradzanych. Wśród nich: głęboko niepokojące *Titane* Julii Ducournau (29 lipca), kultowy amerykański musical *Hair* (22 lipca), osadzony w realiach nowojorskiej komuny hippisów, wizualnie oszałamiające i wzruszające *Wszystko wszędzie naraz* (26 sierpnia), a także legendarny *Swobodny jeździec* (19 sierpnia) – esencja hipisowskiej wolności.

Kultura obecności

„Estrada w Centrum” nie jest jedynie sezonowym ozdobnikiem, lecz manifestem miasta, które wierzy w kulturę jako język wspólnoty. W przestrzeniach, które na co dzień bywają jedynie tłem dla miejskiego pośpiechu – na Placu Kolegiackim, Starym Rynku czy Placu Wolności – rozgrywa się opowieść o innym tempie, innym spojrzeniu, innym słuchaniu. Estrada Poznańska zaprasza do praktykowania obecności w świecie przytłoczonym nadmiarem bodźców – nie tej cyfrowej, ale realnej, współdzielonej, rytmicznej. A to, jak się okazuje, wciąż pozostaje największym luksusem naszych czasów.

Do zobaczenia w centrum.

Pełny program i szczegóły dostępne są na stronie internetowej www.estrada.poznan.pl oraz w mediach społecznościowych Estrady Poznańskiej. Identyfikację wizualną cyklu przygotowała poznańska artystka Angelika Kontak



Koncert Ninos du Brasil

Silent na Wolności

2025

Każdy piątek i sobota
(bez deszczu)

start: 22:00

5 kanałów



alterevent.pl

W ofercie mamy najnowszy model słuchawek na świecie

- mają 5 kolorów i nawet 10 kanałów!

Patryk Kolecki | tel. 796 278 632

mail: patryk.kolecki@gmail.com

SCAN ME!



Cool lato i jesień z Blue Note

Tekst: Julia Lipowicz

Zdjęcie: Maciej Chomik

Jazz jest zdecydowanie cool! A jeśli jazz w Poznaniu, to oczywiście Blue Note. Klub, który po ponownym otwarciu działa już od prawie dwóch lat, nie zwalnia tempa i stale rozwija swój program. W 2025 roku ten kultowy punkt na muzycznej mapie miasta zaprasza zarówno stałych bywalców, jak i tych, którzy dopiero chcą odkryć jazz.

Współczesny jazz to nie tylko „sztywna” muzyka wymagająca specjalistycznej wiedzy. To również mieszanka gatunków, żywe przeżycia i prawdziwe emocje – zarówno po stronie artystów, jak i publiczności. Z tęsknoty za autentycznymi doświadczeniami do klubów jazzowych coraz częściej trafia też pokolenie Z, które szuka odskoczni od powtarzanych w kółko playlist na Spotify.

Trend rosnącego zainteresowania młodych ludzi jazzem i jego nowoczesnymi odmianami potwierdza menadżer klubu, Tomek Rassek:– Przy wielu koncertach cały klub jest wypełniony dwudziesto- i trzydziestolatkami. Przychodzą na luzie, spotykają się ze znajomymi. To inne podejście do kultury. Spotykamy się z bardzo pozytywnymi reakcjami – i to dla nas jasny sygnał, że warto iść dalej w stronę jazzu otwartego, dostępnego dla wszystkich pokoleń, bez zadęcia.

Jazz latem

Choć sezon zima/wiosna 2025 w Blue Note już się zakończył, to nie koniec jazzowych wrażeń. Gdzie szukać jazzu latem w Poznaniu? Agnieszka Podhajska, odpowiedzialna za PR i marketing klubu, bez wahania wskazuje na Blue Summer Jazz Festival (26–27 lipca): – To świetna okazja, by posłuchać jazzu na żywo, w plenerze, w samym centrum Poznania i pięknym otoczeniu Parku Starego Browaru.

Szczególnie ekscytująco zapowiada się pierwszy dzień festiwalu, skierowany przede wszystkim do młodej publiczności. Na scenie wystąpią m.in. Jazzbois – węgierskie trio łączące jazz i hip-hop, które rok temu podbiło scenę Blue Note’a, a także EABS z Brianem Jacksonem oraz Mica Millar, brytyjska wokalistka soulowo-jazzowa. Drugiego dnia festiwalu zabrzmiały bardziej klasyczne, lecz równie przyciągające brzmienia: Anna Maria Jopek z projektem „Przestworza”, fenomenalna Blue Jazz Orchestra oraz formacja Elipsis.

Jazz jesienią

Jesienią okazji do przeżywania jazzu na żywo również nie zabraknie. W klubowym kalendarzu, dostępnym na stronie inter-



Koncert Adi Oasis, materiały klubu

netowej Blue Note, pojawia się coraz więcej koncertów zaplanowanych na nadchodzący sezon.

Od września we wnętrzach przy ul. Kościuszki rozbrzmiewać będzie muzyka z różnych stron świata – od surferskiego, elektronicznego jazzu z Australii w wykonaniu Brekky Boy, przez soulowo-jazzowego wokalistę Michaela Mayo, po jazzową harfistkę Brandee Younger oraz Takuya Kurodę, japońskiego trębacza o światowej renomie.

Jesienią kontynuowane będą także flagowe cykle Blue Note:

Jazz Top – prezentujący najwyższy światowy poziom wykonawcy, m.in. koncert Trio Grande w listopadzie.

Nowi Mistrzowie – czyli występy młodych, ale już uznanych artystów z całego świata. W ramach cyklu we wrześniu zagra Moses Yoofee Trio z Berlina, a w październiku usłyszymy Marta Wajdzik Experiment.

Cykle Nowi Mistrzowie, Top Jazz, a także comiesięczne jam sessions są współfinansowane z budżetu Miasta Poznania. Jak podkreśla Agnieszka Podhajska, wstęp na jam sessions pozostaje darmowy: – To świetna okazja dla osób, które jeszcze nigdy nie były w Blue Note, żeby wejść do klubu bezpłatnie i samemu przekonać się, jaki klimat u nas panuje. Sprawdzić, czy ta muzyka ci odpowiada, czy dobrze się tu czujesz, kto przychodzi do klubu i kto słucha takiej muzyki.



Kiedy line-up nie wystarcza

BitterSweet Festival

Tekst: Dominika Majewska

Trudno dziś znaleźć festiwal, którego line-up nie przypomina innego. Wielkie nazwiska krążą po Europie jak wędrowne gwiazdy, a plakaty zdają się różnić jedynie kolejnością logotypów. Zmęczenie formą? Może. Przesyt? Na pewno. Tym bardziej zaskakuje pojawienie się wydarzenia, które nie tylko stawia na muzykę, ale chce powiedzieć coś więcej – o bliskości, wrażliwości i wspólnocie. BitterSweet Festival nie próbuje być „kolejnym dużym eventem”. Przeciwnie – to głos w sprawie i zaproszenie do przeżycia czegoś, czego nie da się skopiować. O przesycie festiwalami, zmieniających się oczekiwaniach publiczności i wydarzeniu, które zamiast powielać schematy, próbuje opowiedzieć własną historię.

Jeszcze kilka lat temu lato w Polsce kojarzyło się przede wszystkim z festiwalami. Kalendarium muzyczne było wypełnione po brzegi. Open'er, OFF, Pol'and'Rock, Audioriver i wiele innych stały się obowiązkowymi punktami wakacyjnych planów. Bilety kupowało się z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem i z niecierpliwością odliczało dni do rozpoczęcia ulubionego festiwalu. To były nie tylko koncerty, ale też szansa na przeżycie czegoś wyjątkowego.

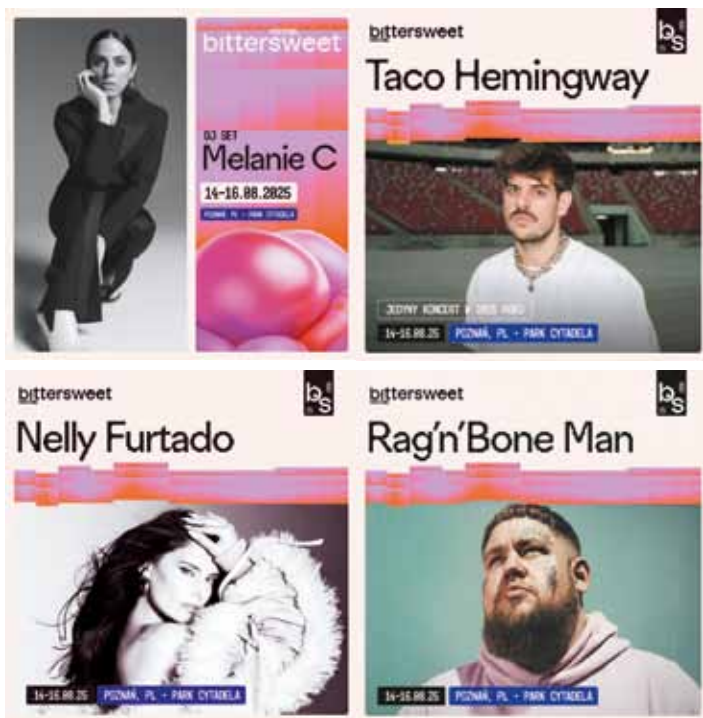
Wszystko zmieniło się w 2020 roku, gdy pandemia COVID-19 uderzyła w branżę wydarzeń na żywo z siłą, której nikt się nie spodziewał. Festiwale, planowane z rocznym wyprze-

dzeniem, nie mogły się odbyć. Odwoływano kolejne edycje, a organizatorzy z dnia na dzień tracili nie tylko budżety, ale też zaufanie widzów, którzy zostali z niepewnością co do zwrotów czy przyszłości biletowanych wydarzeń. W 2021 roku sytuacja wciąż była niestabilna. Rynek praktycznie się zatrzymał. Większy nacisk położono na wydarzenia lokalne, plenerowe czy jednodniowe. Wiele osób przyzwyczało się do braku wielkich koncertów, wybierając bardziej kameralne, niskobudżetowe alternatywy.

Gdy branża zaczęła wracać w 2022 roku, nic już nie było takie samo. Widzów było mniej, a bilety sprzedawały się wolniej. Zmieniły się też koszty. Organizacja dużego wydarzenia stała się znacznie droższa niż wcześniej, co odbiło się na cenach wejściówek. Do tego doszła rosnąca inflacja, która sprawiła, że dla wielu uczestników wielodniowy festiwal stał się luksusem, na który trudno było sobie pozwolić. Z raportów Ticketmaster i Eventim wynika, że w 2023 roku zainteresowanie niektórymi wydarzeniami spadło nawet o kilkanaście procent w porównaniu z 2019 rokiem. Zaczęto ostrożniej podchodzić do decyzji o kupnie biletów, często czekając do ostatniej chwili, co z kolei utrudniło organizatorom planowanie i tworzenie wydarzeń muzycznych.

Jednym z najbardziej wymownych symboli tych zmian był upadek Fest Festivalu. Ambitny projekt, który miał ściągać do Chorzowa międzynarodowe gwiazdy i oferować doświadczenie zbliżone do zachodnich wydarzeń, nie przetrwał próby czasu. W 2023 roku odwołano jego kolejną edycję, tłumacząc decyzję względami organizacyjnymi i finansowymi. Dla wielu było to zaskoczenie, ale już nie tak szokujące, jak mogłoby być kilka lat wcześniej. Co ciekawe, w 2025 roku Fest Festival zapowiedział swój powrót z nową formułą i świeżym pomysłem. To pokazuje, że branża nie umarła, ale znajduje się w okresie przejściowym. Potrzebuje nowej energii, ale też wizji.

W tym kontekście pojawia się pytanie: czy Polsce potrzebny jest kolejny festiwal? I właśnie tutaj warto przytoczyć słowa Sary Kordek zajmującej się kampanią nowego wydarzenia na mapie Polski, który już teraz wywołuje emocje i ciekawość – BitterSweet Festival:



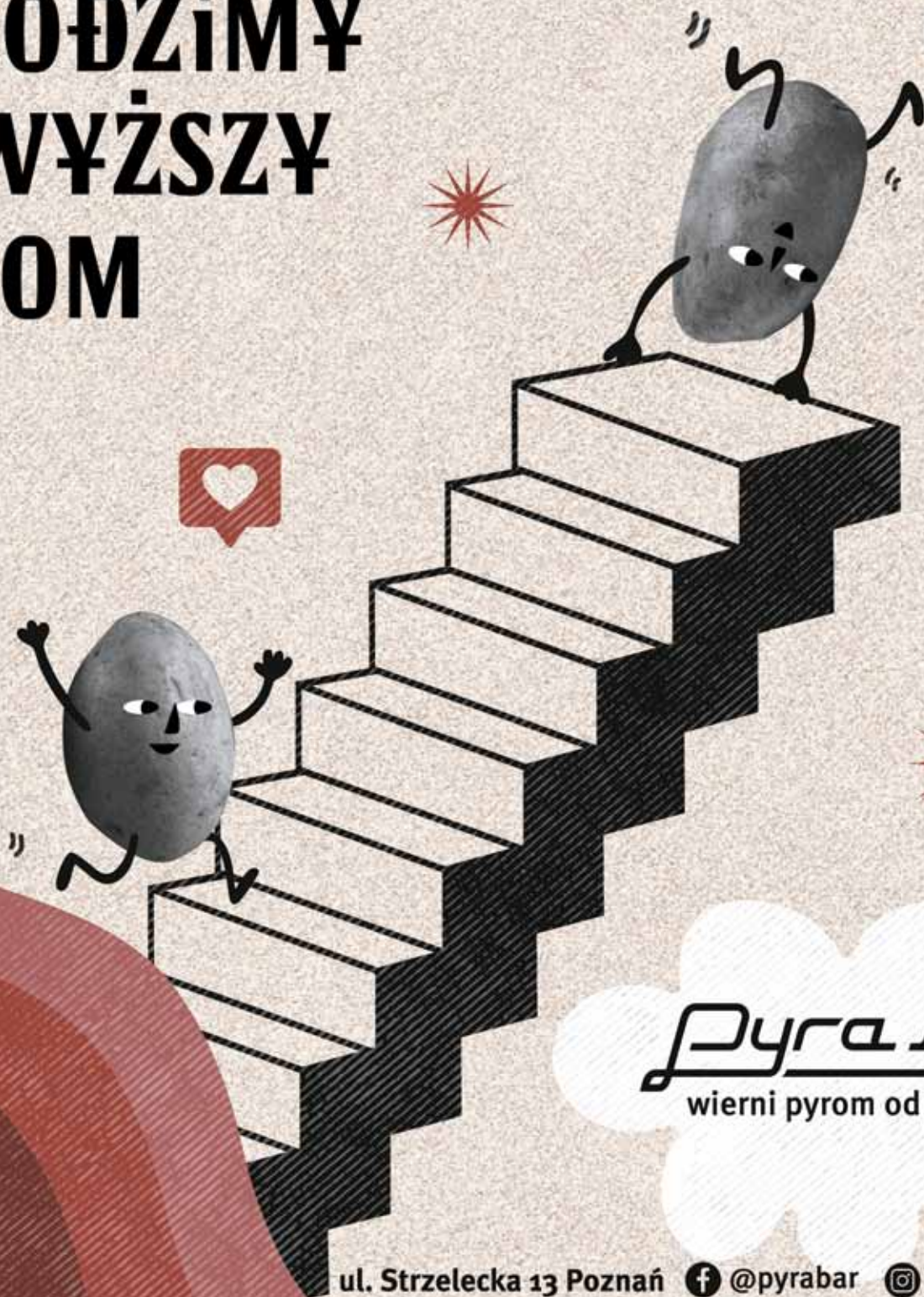
Czy Polsce potrzebny jest kolejny festiwal? Tylko jeśli wnosi coś nowego. I wierzę, że BitterSweet właśnie to robi – nie konkuruje z innymi, tylko dopowiada coś, czego jeszcze nie było. Pomysł na BitterSweet Festival zrodził się z potrzeby stworzenia czegoś innego – festiwalu, który nie tylko prezentuje muzykę, ale też dotyka emocji, różnorodności i tematów społecznych. Chcieliśmy wydarzenia, które opowiada historię – o sile, wrażliwości, bliskości, lokalności i wspólnocie. Dlatego BitterSweet to nie tylko line-up, ale cały świat doświadczeń zbudowany wokół emocji, sztuki i wartości. To, co nas wyróżnia, to przede wszystkim spójna tożsamość emocjonalna – estetyczna, ale nie cukierkowa; mocna, ale nie agresywna. Tworzymy przestrzeń, gdzie można i tańczyć, i wzruszyć się do łez. Poza koncertami stawiamy na bezpieczną i inkluzywną atmosferę, działania społeczne (np. kampania o dobrych praktykach festiwalowych we współpracy z SEXEDPL i MŁODYMI GŁOWAMI) oraz unikalne współprace z markami, które naprawdę czują naszą ideę.

Ten cytat trafia w sedno tego, czego dzisiejszy uczestnik szuka w wydarzeniach masowych. Bo festiwal to już nie tylko line-up - to także komunikacja, narracja i wartości. Dzisiejsi festiwalowicze nie są już wyłącznie konsumentami kultury, ale są jej współtwórcami. Świadomi, wymagający, często krytyczni. Porównują ceny, analizują doświadczenia, czytają opinie. Wybierają to, co autentyczne, spójne, bliskie ich przekonaniom. Coraz częściej skłaniają się ku mniejszym, bardziej lokalnym inicjatywom, które nie próbują imitować wielkich zagranicznych produkcji. Potrzebna jest spójna komunikacja, wrażliwość społeczna, dobra logistyka.

BitterSweet zdaje się wychodzić naprzeciw tym oczekiwaniom. Zadebiutuje w dniach 14 - 16 sierpnia 2025 roku w poznańskim Parku Cytaдела. To miejsce, które nieczęsto gości duże wydarzenia muzyczne i może właśnie dlatego niesie w sobie coś wyjątkowego. Zielona przestrzeń położona w sercu miasta, otoczona historią i spokojem, z dala od zgiełku lotnisk i stadionów, staje się idealnym tłem dla wydarzenia, które zamiast przytłaczać rozmachem, chce opowiadać i tworzyć atmosferę. Przy tym wszystkim Bitter nie ma zamiaru rezygnować z niepowtarzalnych przeżyć muzycznych. Line-up jest imponujący, ale i wyraźnie przemyślany. Na scenie pojawią się międzynarodowe nazwiska z najwyższej półki. Post Malone, Nelly Furtado, Empire of the Sun, Peggy Gou czy Hurts zestawione z reprezentacją polskiej sceny, której siła od lat nie słabnie: Taco Hemingway, Bedoes, OIO, Jann, Brodka. To skład różnorodny, odważny gatunkowo i aktualny. Widać, że organizatorzy celują nie tyle w „każdego”, co w tych, którzy szukają nowych brzmień i chcą się zanurzyć w muzyce.

W takim razie, czy Polska potrzebuje jeszcze jednego festiwalu? Być może nie, jeśli będzie to tylko kolejny line-up w tym samym schemacie. Festiwale muszą być w stanie wniesić coś więcej. Nową jakość, nowy sposób myślenia, nowy ton. Tylko te wydarzenia, które potrafią zbudować realną więź z uczestnikami i zaproponować coś więcej niż muzyczne widowisko, mają szansę przetrwać. Nie wystarczy dziś postawić sceny i zaprosić kilku znanych artystów. Festiwal to doświadczenie, które zaczyna się na długo przed pierwszym dźwiękiem i kończy długo po ostatnim bisie.

WCHODZIMY NA WYŻSZY POZIOM



Pyra bar
wierni pyrom od 2009r.

ul. Strzelecka 13 Poznań  @pyrabar  @pyrabar_



for. Teatr Nowy, poprzedni spektakl „Matka”, R. Stępnia

Ludzie i historie

Zbliża się nowy sezon w Teatrze Nowym im. Izabelli Cywińskiej

Rozmawiąta: Karolina Sierszulska

Lato w pełni, kuszą truskawki i czereśnie, kusi książka, wołają kina plenerowe, woła wakacyjna bez troska i słodkie nicnierobienie, ale my (jeszcze!) nie delectujemy się tymi ptifurkami. Teraz rozmawiamy o teatrze! O Teatrze Nowym im., o nowościach, o tym dlaczego Shakespeare spotyka się z Elonem Muskem i o tym, kto i co kryje się za kurtyną opowiada Rafał Michalczuk, kierownik działu promocji i reklamy, który od dziesięciu lat współpracuje z poznańską instytucją i zdradza, co na scenie przed Wami tej jesieni.

Rafale, opowiedz mi na jakie wydarzenia zapraszacie widzów do Teatru Nowego jesienią? Szykujecie, aż cztery premiery!

Nie tylko premiery! Czas między wrześniem a grudniem będzie dość intensywny. Intensywny, bo z doświadczenia wiem, że jeżeli coś nowego pojawia się u nas w Teatrze co dwa, trzy tygodnie, to ten czas mija w mgnieniu oka. Pod koniec września dwie premiery w jeden weekend (26 i 27 września), październik to duży festiwal, później początek listopada z kolejną premierą i grudzień, jako zamknięcie półroczia z wydarzeniem potężnym i gigantycznym liczbowo. Nie zapominajmy o warsztatach, spotkaniach około premierowych, wydarzeniach gościnnych, wycieczkach etc. Teatr Nowy nie ma zamiaru przysypiać czy hibernować na zimę.

We wrześniu, na Trzeciej Scenie, premiera „Ellen Babić” Mariusa von Mayenburga, czyli historia nieoczywista, romantyczny trójkąt, niespodziewana wizyta. Czy to będzie psychologiczny thriller, czy widz może spodziewać się nieco innego spojrzenia reżysera Piotra Biedronia na ten dramat?

W tym wypadku wizja reżysera będzie bardzo istotna. Po rozmowach w sprawie promocji spektaklu, mogę powiedzieć, że reżyser „Ellen Babić” jest bardzo konkretny i doskonale wie o co mu chodzi. I dobrze. Można spodziewać się intensywnego, psychologicznie precyzyjnego

dramatu, który porusza temat władzy, uprzedzeń i iluzji równości w relacjach międzyludzkich. Autor tekstu – Marius von Mayenburg – obnaża napięcia skrywane pod powierzchnią pozornie harmonijnego związku i konfrontuje widza z pytaniami o granice etyki, miłości i społecznych norm. To mocna, prowokująca sztuka, która nie daje łatwych odpowiedzi i stawia odbiorcę w roli aktywnego uczestnika emocjonalnej gry. W dusznej, elektrycznej atmosferze poznajemy Astrid i Klarę, parę z długoletnim stażem, której równowagę burzy niespodziewana wizyta dyrektora szkoły. Co dalej? Musicie przekonać się sami na Trzeciej Scenie.

„Historia to koszmar, z którego chcę się obudzić”, jak czytamy w zapowiedzi spektaklu, dlaczego mielibyśmy zatem popłynąć w „Rejs” z Gombrowiczem, na który zaprasza nas reżyser Radosław Stępień?

„Rejs. Historia”, reżyseria Radek Stępień, a to zwiastuje kląsę. Po prostu. Spektakl „Matka” Witkacego, którą Radek wyreżyserował u nas poprzednio, to kawał potężnego teatru. Świetne kreacje aktorskie (nagroda Antoniny Choroszy), doskonale prowadzona historia, piękne wizuale. Myślę, że w ciemno możemy zaryzykować tezę, że w tym przypadku będzie dokładnie tak samo. Stępień to uznane już nazwisko w świecie teatralnym, a tu dodatkowo wspierane przez naszych fantastycznych aktorów i legendę teatralną – Mikołaja Grabowskiego, który tym razem nie jako reżyser, a aktor... W „Rejsie” zobaczymy dwóch Gombrowiczów, jednego młodego i starego. To wielowarstwowa opowieść o próbach przebudzenia: narodu i obywatela, zbiorowości i jednostki. Oniryzm, pewnie trochę groteski – czyste laboratorium teatralne.

W październiku nie zapominamy o Osieckiej, bo to już 28. edycja Festiwalu „Pamiętajmy o Osieckiej”. Co wtedy będzie



fot. Teatr Nowy, „Pamiętajmy o Osieckiej” 27. edycja (finał 28. edycji odbędzie się w październiku)

się działo w Teatrze? Można nucić te kultowe melodie z wi-downi razem z finalistami?

Czy można? Trzeba! Dwa tysiące tekstów piosenek, szlagiery, hity, ikoniczne zdania, kampania reklamowa dla chociażby *Coca-Coli* czy scenariusze. Osiecka była jedną z najzdolniejszych przedstawicielek swojego pokolenia, zachowując proporcje, jak co roku staramy się najzdolniejszych z Polski wyłowić. Dajemy scenę i mikrofon, a potem rozpoczyna się magia. W sierpniu etap sopocki i warsztatowo-koncertowy, potem Warszawa i finał jak zwykle u nas. Cztery dni napakowane muzyką, nowe aranżacje (Dawid Sulej Rudnicki), wręczenie Głównej Nagrody Marszałka Województwa Wielkopolskiego oraz recital ubiegłorocznej laureatki. No i konkurs wokalny, który dostarczy nam odpowiedź na pytanie: kto po półrocznych zmaganiach zgarnie tytuł.

„Koriolan”: czyli Shakespeare spotyka Elona Muska. Czy to będzie jazda bez trzymanki Tesłą czy raczej powrócimy do starożytnego Rzymu?

„Koriolan” to opowieść o władzy, dumie i manipulacji. Dziej-szy świat dominowany jest przez postprawdę, polityczny PR

i brak de facto obiektywnej rzeczywistości. Obserwując to Stany Zjednoczone okazują się być właściwą konotacją. Ten „Koriolan” to trochę taki Rzym ’24, znajdujący się na granicy techno-oligarchii. Duet Stanisław Chłodziński/Bartosz Cwaliński, odpowiadający za efekt końcowy, mają doskonale rozpisany tekst/role. Przyznam, że bardzo ciekawi mnie, jak w listopadzie zabrzmiała nasza wersja ze sceny. Pokazujemy też jak łatwo można stać się figurą medialnego spektaklu, nawiązując do tego można powiedzieć, że spektakl będzie na pewno medialny, ale pewni jesteśmy, że nie będzie to kolos na glinianych nogach. Koriolan to historia o społeczeństwie, które pragnie siły, a jednocześnie boi się tyranii. O polityce, która coraz mniej ma wspólnego z ideami, a coraz więcej z obrazem w telewizji. Niezależnie od czasów, niestety zawsze jest to aktualna teza.

„Chory z urojenia” w reżyserii Oskara Sadowskiego, to ogromne przedsięwzięcie, gigantyczna obsada, dopracowana scenografia. To crème de la crème na zakończenie tego roku. Opowiedz o przygotowaniach i pracy nad spektaklem. Ale żeby ten i wszystkie inne spektakle znalazły się na deskach teatru, potrzebna jest praca wielu osób, nie tylko obsady i reżysera. Chcia-

łabym zajrzeć za kulisy. Zdradź proszę, jak Teatr Nowy wygląda tam, gdzie oko widza nie sięga? Co kryje się za kurtyną?

Och! Jest to pytanie tak wielkie, jak scena na której zagramy ostatnią premierę. Podzielmy je.

Po pierwsze klasyczny tekst Moliera spotyka się z teraźniejszością. Dwa przenikające się światy: molierowska farsowa opowieść i historia kobiety z kliniki piękności tworzą wielowymiarową narrację o hipochondrii, lęku przed rozpadem rzeczywistości i dziedzicznej toksyczności relacji. Do premiery pozostało pół roku i, w którym kierunku skręca poszukiwania w procesie, tego jeszcze nie wiemy.

Co do pracy nad spektaklem, zakładając, że jesteśmy już po etapie przyjęcia tekstu przez Dyrektora, naszą Dramaturżkę i tzw. wszystkich świętych, dochodzi do pierwszej próby czytanej. Tam reżyser wraz z innymi osobami opowiada o swojej koncepcji, kierunku, wizji. Pokazywana jest scenografia, kostiumy, charakter wizualny i dźwiękowy całego wydarzenia. Potem tzw. proces, czyli mozolna praca nad tekstem, improvizacje aktorskie, praca aktorska z reżyserską, która finalizuje się na próbach generalnych i premierze. To ogromna ilość pracy przez około trzy miesiące, bazująca na emocjach, ale też dużej wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Grając przy tym codziennie spektakle bieżące, bo przecież aktorzy nie znikają ze sceny, wchodząc w próby do premier.

Jednak musimy pamiętać również o części produkcyjnej spektaklu (mamy pracownię krawiecką, stolarską, tapicerską, modelatornię), promocji, czyli przygotowanie materiałów foto i video, informacji prasowej, działania promocyjne w social mediach na około miesiąc przed spektaklem, księgowej (umowy, papiery), sprzedażowej (BOW), organizacyjnej (OPA), literackiej (prawa autorskie, program) czy technicznej (tu całe piony produkcyjne od akustyki, przez światło). Łącznie z charakterystyką czy garderobianymi, które mają mnóstwo pracy (niezależnie od tego, czy mówimy o małym czy dużym projekcie), inspicjentach czyli opiekunach, akuszerach spektakli, kończąc na obsłudze widowni, kierowcy (legendzie tego teatru p. Eugeniuszu) czy paniach kasjerkach (również ikoniczna postać p. Krysi), na bank kogoś jeszcze pominąłem, przepraszam – to

w Teatrze Nowym pracuje około 105 osób i ta teatralna maszyna cały czas się oliwi, kręci i działa. Jesteśmy w potężnym budynku, w którym można się zgubić od katakumb po strychy, z drzewem w środku (tak, mamy takowe) i historią, już przekraczającą sto lat, z ikonicznymi postaciami w tle. Wszyscy z pokorą i radością, pamiętając gdzie jesteśmy, próbujemy robić swoje. Nie dajemy się przytłoczyć, szanujemy to miejsce i próbujemy rozwijać je w najlepszy sposób.

Jaka idea przyświeca Teatrowi Nowemu? Czym się kierujecie, wybierając reżyserów, aktorów, twórców do współpracy? Co chcecie przekazać?

Chyba trochę wyprzedziłem odpowiedź na to pytanie. Podzielę się swoimi obserwacjami z perspektywy 10 lat mijających mi w Teatrze Nowym. Po pierwsze staramy się być blisko ludzi, mówić językiem teatralnym, który jest blisko widza. Podejmować tematy, które są aktualne i wywoływać dyskusje i emocje. Mamy „w papierach” nazwiska wielkie, uznane, jak chociażby ostatnio Klata, Kleczewska, Wierchowski, ale też młodych i zdolnych, którzy zaraz zabłyszcą. Nie chcemy być obojętni, chcemy, będąc z Jezyc, mówić o sprawach ludzi z fyrtyla, ale i takich, które wchodzą dopiero do dyskusji publicznej (spektakl „Prawo wyboru”). Mówimy o tym, co nas otacza, co w nas siedzi i co zaraz może przyjść.

Co fajnego jest w teatrze, co wciąż przyciąga do niego tak wielu odbiorców?

Ludzie i historie, ludzie na scenie i historie postaci. Ludzie wokół sceny i ich historie związane z pracą tutaj. Ludzie przychodzący do nas, tworzący i pamiętający historie. No i ludzie, którzy byli przed nami, byli historią oraz ci którzy będą po nas, którzy stworzą nową historię. Z pewnością przyciąga to, że każdy spektakl i wydarzenie w teatrze, nawet ten sam tytuł innego dnia – to oddzielna historia. Teatr w przeciwieństwie do raz wrzuconego np. w streaming filmu – ewoluuje. Dostosowuje się (albo nie) do oczekiwań widza, a raczej do jego potrzeb. Czasami sam stwarza rzeczy, o których widz nie pomyślał, że ich potrzebował. To nie przypadek, że mówimy o czymś, co istniało już w Antyku i nadal porusza. Mówiłem – ludzie i historia.



Z Wietnamu do Poznania

COCONAUT – woda kokosowa, która podbija nasze lodówki i kubki smakowe

W świecie, który nie zwalnia tempa, wszyscy próbujemy stale balansować między pracą, domem i pasjami. W tym codziennym biegu często zapominamy dbać o siebie i swoje zdrowie. Sięgamy po kawę, energetyki, słodzone napoje – byle tylko dodać sobie sił. A co, jeśli zatrzymamy się choć na chwilę i wybierzemy coś, co naprawdę orzeźwia i pochodzi prosto z natury? Odpowiedź znajdujemy w niepozornej puszcze z pociesznym astronautą. COCONAUT – polska marka spod Poznania – szturmem zdobywa nie tylko lodówki, ale też serca i kubki smakowe tych, którzy szukają autentyczności.

Historia dwóch facetów, którzy postanowili coś naprawić

Kolorowe puszkę na sklepowych półkach to tylko wierzchołek góry lodowej. Za COCONAUT stoi opowieść o pasji, podróżach i odwadze. Adrian Rosenbeiger i Dominik Pazgrat – założyciele marki – nie przywieźli z podróży do Azji zwykłych magnesów na lodówkę. Przywieźli ideę.

– Jeszcze przed powstaniem marki regularnie piliśmy wodę kokosową, stąd dobrze wiedzieliśmy, jak powinna smakować. W Polsce to był towar luksusowy, trudno dostępny i często... po prostu niesmaczny. Zmieniliśmy to – mówią twórcy marki.

Po długich poszukiwaniach trafili do słonecznego Wietnamu. To tam odnaleźli te właściwe, młode kokosy o idealnym poziomie naturalnej słodczy. Wbrew pozorom ich zbiór to nie praca maszyn, a ręczna robota ludzi z precyzją chirurgów. Lo-

kalni zbieracze, używając bambusowych tyczek zakończonych ostrzami, z niesamowitą precyzją odcinają kokosy z palm. To właśnie tam zaczyna się jakość, którą znajdziesz w każdej puszcze COCONAUT.

Samo zdrowie. Sama natura.

Co kryje się w środku? Tylko to, co najważniejsze: naturalna woda kokosowa. Bez dodatku cukru, bez konserwantów, bez składników, których nie potrafisz wymówić.

To naturalny izotonik od Matki Natury – pełen magnezu, potasu i wapnia. Idealny po treningu, na kaca, do pracy, w upał – za każdym razem, kiedy organizm domaga się czegoś więcej niż kolejnej kawy. Regularne picie wody kokosowej może wspierać koncentrację, redukować zmęczenie i realnie podnieść poziom energii.

Wspierają tych, którzy mierzą wysoko

COCONAUT to nie tylko produkt – to ruch. Hasło GO HIGHER! nie jest pustym sloganem, ale filozofią, która przekłada się na realne działania. Marka aktywnie wspiera polskich sportowców, zarówno tych uznanych z licznymi sukcesami międzynarodowymi na koncie, jak i młode, ambitne talenty.

COCONAUT jest głównym sponsorem reprezentacji Polski w hokeju na trawie, a w gronie ambasadorów z różnych dyscyplin znajdują się m.in. Przemysław Frankowski, Magda Linette, Anastazja Kuś, Roksana Słupek, Kinga Gacka, Laura Bernat, Tomek Berkiet czy Marta Dzieciatkowska i Kinga Drózd – wyjątkowe paraolimpijki, których historie inspirują i pokazują, że ograniczenia istnieją wyłącznie w naszych głowach.

Marka inwestuje w wydarzenia sportowe i popkulturowe, które poruszają tłumy. Byli na Santander Letnie Brzemienia i Salt Wave. Niedawno napędzali Millenium Docs Against Gravity, a niedługo pojawią się na Festiwalu Nowe Horyzonty, Sponsorują także lokalne inicjatywy – Malta Festival, Enea Poznań Open, Santa Grafika, Local Girls Movement – udowadniając, że woda z młodego kokosa może być czymś więcej niż produktem. Może być impulsem do działania.



Na zdjęciu Anastazja Kuś

Wspierają topowe imprezy sportowe: Tour de Pologne, Bieg Piastów, Enea Triathlon Bydgoszcz & Żnin, Pomerania Trail oraz liczne obozy, treningi i inicjatywy, takie jak wyprawy rowerowe, ustawki biegowe, obozy jogi, czy pilatesu, których nie sposób zebrać w krótkiej notce.

Nie chodzi tylko o logo na banerze. Chodzi o realne wsparcie i energię, która płynie dalej – do sportowców, uczestników i całych społeczności.

Żywa marka. Żywa społeczność.

Co idealnie wybrzmiewa w jej mediach społecznościowych. To nie są nudne, firmowe profile. To marka z charakterem – i łatwo to dostrzec w jej komunikacji. Sprawdź ich Instagram/Facebook (@coconaut.wodakokosowa) – zero korporacyjnego zadęcia, dużo luzu i dobrej energii.

– Połączyliśmy smak, jakość i przystępną cenę. A potem ciężko pracowaliśmy, by popularyzować tu wodę z młodego kokosa – mówią na koniec Adrian i Dominik. Praca ta przyniosła

efekty, bo COCONAUT to świetny przykład, że z pasji i dobrego pomysłu może narodzić się produkt, który jest smaczny, zdrowy i do tego nasz, polski.

Marka, która się rozwija

COCONAUT nie stoi w miejscu. Oprócz klasycznej wody kokosowej, znajdziecie również wersję gazowaną – idealną jako zdrowsza alternatywa dla klasycznych napojów. Pojawiły się też wersje z dodatkiem prawdziwych soków owocowych NFC, a dla miłośników kafeiny – COCOFFEE, czyli wegańskie napoje na bazie wody kokosowej i mleka kokosowego.

Ale uwaga – właściciele marki nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Już niebawem szykują się zmiany, nowości i świeże kierunki, o których wkrótce usłyszycie więcej.

STAY HYDRATED! GO HIGHER!

www.coconaut.com

CZAS NA TEATR FESTIWAL

**SPEKTAKLE
KONCERTY
KONFERENCJE
GALERIA KOSTIUMÓW
SPOTKANIA Z ARTYSTAMI
i wiele innych...**

**POZNAŃ
18-25.11.2025**

WIĘCEJ INFORMACJI ORAZ BILETY ZNAJDZIESZ NA: **WWW.TEATR-MUZYCZNY.PL**





Serce na talerzu: O pasji, biznesie i przyszłości polskiej gastronomii

Rozmowa z szefami kuchni, którzy kreują rynek kulinarny w Polsce

tekst: **Paweł Niedzielski**

Restauracje à la carte, bary mleczne, pizzerie, kraftowe kebabownie, niezliczone pop-upy, a nawet lokale wyróżnione gwiazdką Przewodnika Michelin. Restauracje weekendowo wypełnione po brzegi, kolejki oczekujących przed wejściem, oblegane złoty food trucków w każdym mieście. Zdaje się, że puls polskiej gastronomii bije dziś szybciej, niż kiedykolwiek.



fot. Sonia Tlili

Quo Vadis, gastronomio?

Obserwujemy coraz to nowe rzesze foodies, zyskujące na znaczeniu kanały o tematyce kulinarnej, wszędobylskich, domorosłych krytyków kulinarnych, którzy w sieci osiągają milionowe zasięgi. Z drugiej strony mamy badania, że Polacy coraz rzadziej wychodzą, by zjeść coś poza domem. Ceny szybują coraz wyżej i tego rodzaju aktywności przestają być regularne, a stają się odświętnym rytuałem.

Nowe koncepty na kulinarnej mapie Polski wyrastają jak grzyby po jesiennym deszczu. Wiele z nich jednak niedługo potem znika bezpowrotnie. Wysokie czynsze, duża konkurencja, brak rąk do pracy i stale rosnące ceny produktów. Twarde reguły i niełatwy biznes. Mawia się, że jeśli nie wiesz, na co przepalić dowolną ilość pieniędzy, otwarcie restauracji będzie świetnym wyborem. Trzydziesty sezon „Kuchennych Rewolucji” niezmiennie w prime time, zdaje się tylko to potwierdzać.

Ambitni kreatorzy trendów kulinarnych w Polsce

Chcąc zagłębić się nieco bardziej w temat szeroko pojętej gastronomii, zaprosiłem do rozmowy szefów kuchni młodego pokolenia z całego kraju. Orson Hejnowicz, Jakub Linka, Szymon Sierant, Artur Skotarczyk, Paweł Zasławski, bo o nich mowa, to młodzi, ambitni i nowocześni szefowie z różnym dorobkiem zawodowym, reprezentujący różne kulinarne szkoły, ale przede wszystkim pełni pasji do tego co robią – sprawiania ludziom kulinarnej przyjemności.

Zarządzają restauracjami, tworzą koncepty gastronomiczne, komponują menu, organizują kulinarne pop-upy i eventy, krótko mówiąc – wiedzą co w gastronomicznej trawie piszczy.

Każdemu z nich zadałem ten sam zestaw 14 pytań, zestawiając całość w obszerny artykuł. W wersji drukowanej zmieściły się zaledwie fragmenty naszej rozmowy z kilkoma wybranymi i skróconymi odpowiedziami.

Kiedy stwierdziłeś, że dawanie ludziom przyjemności poprzez gotowanie dla nich, będzie Twoją życiową drogą zawodową?

Orson Hejnowicz: Stało się to, gdy w klasie maturalnej chodziliśmy na wagary. W momencie gdy wszyscy zgłodnieli przed powrotem rodziców do domu, zaglądałem do lodówek, zamrażarek i gotowałem najróżniejsze dania. Więc praktycznie można powiedzieć, że wzięło się to z potrzeby nakarmienia wygłodniałych nastolatków. Zauważyłem wtedy, że podczas tego pichcenia tłumaczyłem wszystkim o co chodzi w procesach chemicznych i wyciągałem z rękawa patenty, o których często opowiadała mi mama.



fot. Małgorzata Opala

Artur Skotarczyk – szef kuchni i współtwórca restauracji MUGA z Poznania, nagrodzonej gwiazdką Michelin

Artur Skotarczyk: Kiedy goście świadomie zaczęli doceniać i podchodzić do jakości produktu na talerzu, zwracać uwagę na różnorodność tekstur w daniach, na nieszablonowe i kreatywne ich przedstawianie. Właśnie wtedy dostałem wiatru żagle i zacząłem jeszcze intensywniej wykorzystywać swoją wiedzę i zdobyte doświadczenie.



fot. Małgorzata Opala



fot. Klaudia Gąsior

Jakub Linka – szef kuchni,
pomysłodawca i współtwórca
poznńskiego konceptu AstroGastro

Głośno ostatnimi czasy o trendzie zero waste. Czym dla Ciebie na co dzień jest rozsądne gospodarowanie żywnością?

Jakub Linka: Zero waste to dla mnie przede wszystkim szacunek do jedzenia i umiejętne wykorzystanie produktu. W swojej kuchni często praktykuję podręczny „śmietnik”, w którym ładuję wszystkie ścinki z mięs, obierki z warzyw, resztki ziół itp. Później wykorzystuję te rzeczy do zbudowania głębi w daniu – np. taki „Zero waste broth”, zastępuje mi wodę do duszenia warzyw, rozcieńczania sosów itp.



fot. Klaudia Gąsior

Szymon Sierant: Jak już wspomniałeś jest to trend, czyli pojawia się coś, co jest mocno promowane, jest o tym głośno. Trendy często przemijają albo pojawiają się znów po jakimś czasie, jak w modzie. Zero waste był wokół nas tak naprawdę od zawsze, tylko teraz wymyślono dla niego ładną nazwę. W moich restauracjach podchodzimy do tematu bardzo racjonalnie tzn. jeśli możemy jeden produkt wykorzystać na kilka sposobów lub w kilku daniach, to już jest dla nas sukces.

Usłyszałem kiedyś z ust uznanego szefa kuchni: „Chcesz zniechęcić gotowanie, otwórz sobie restaurację”. Prowadzenie takiego biznesu, to według niektórych bardziej rachunkowość i finanse, niż realizacja kulinarnych pasji i możliwość artystycznego wyrazu. Czy naprawdę trzeba iść na tak wiele kompromisów?

Orson Hejnowicz: Jest taki piękny cytat: „Trudno jest pracować w restauracji i nie zwariować”. Jeżeli poradziliśmy sobie z wieloletnią pracą w kuchni, pod różnego rodzaju rygiem, powinniśmy sobie również i z tym poradzić. Pamiętajmy, że robimy to dla ludzi, dla gości, a nie dla siebie. Dlatego jeżeli mamy danie, które goście uwielbiają, to nie walczmy z wiatrakami.

Paweł Zasławski: Nie do końca się zgodzę, żeby było to regułą, ale faktycznie brak odpowiedniego doświadczenia może doprowadzić do skrajnych emocji. Ja po siedemnastu trudnych i bardzo intensywnych latach w kuchni, na samą myśl o otwarciu własnej restauracji czuję skręt w jelitach i mam wielką nadzieję, że nigdy życie nie doprowadzi do momentu, kiedy będę zmuszony podjąć takie wyzwanie.

Wysokie ceny produktów, permanentne problemy kadrowe, astronomiczne czynsze, a to wszystko poganiane foodcostem i szaleńczym tempem pracy w kuchni. Jak odnajdujesz balans, pracując w takim środowisku?

Jakub Linka: Nie znajduję, totalnie. Szczególnie na moim etapie „kariery”, kiedy z dnia na dzień wpadają nowe zlecenia, których totalnie nie chcę odpuścić. Nie jest to zdrowe – dla ciała, duszy, relacji, ale co poradzić? Taki job. Oczywiście pół żartem, pół serio.



fot. Szymon Sierant (z archiwum autora)

Szymon Sierant – współwłaściciel i szef kuchni dwóch krakowskich restauracji Kropka i BĀR

Szymon Sierant: Po 17 latach pracy w gastronomii doszedłem do momentu, w którym każda wolną chwilę przeznaczam na odpoczynek i oczyszczenie głowy po tym, co dzieje się na co dzień dookoła. Jest tego naprawdę dużo, więc najczęściej albo gdzieś podróżuję z partnerką, albo gram w golfa.

Polska gastronomia rozwija się bardzo dynamicznie. Jak grzyby po deszczu wyrastają nowe, ciekawe koncepty, często zamykając się niedługo potem. Czy Twoim zdaniem, istnieje przepis na sukces w tym biznesie?



Paweł Zasławski – niezależny szef kuchni, w ostatnich latach związany m. in z restauracjami MUGA oraz Monka

Artur Skotarczyk: Zgadza się, polska gastronomia rozwija się bardzo szybko. Wielu stawia na szybkie i duże zyski zaraz po otwarciu biznesu, a to duży błąd. To trzeba wypracować, być konsekwentnym i dużo inwestować w rozwój restauracji. Nie wiem, czy tak naprawdę istnieje złoty środek.

Paweł Zasławski: Jedzenie to moja pasja, zarówno od strony osoby gotującej jak i od strony gościa restauracji. Śledzę rynek gastronomiczny, często bywam w restauracjach i z przykrością muszę stwierdzić, że rotacja, o której wspominasz,

wynika głównie z braku doświadczenia w prowadzeniu tego typu biznesu.

Zarządzanie zespołem w kuchni znamy często tylko z filmów i kulinarnych show w TV, gdzie rzuca się talerzami i „mięsem”, nawiązując do kulinarniej tematyki. Jak w praktyce wygląda skuteczne zarządzanie w kuchni?

Orson Hejnowicz: Jako pracownik przeżyłem każdy rodzaj prowadzenia kuchni – od musztry po degrengoladę, od gardzenia moją narodowością, po przyjaźń wiążącą na lata. Nie ma nic ważniejszego niż poszanowanie, hierarchia i trzymanie się jej. Nawet jeżeli masz świetny pomysł, przyjdzie czas, żeby pokazać go gdzieś, jako szef.

Szymon Sierant: Przede wszystkim trzeba mieć zespół, który zrozumie naszą filozofię gotowania i podejście do całości kształtu. Z drugiej jednak strony ważne, żeby każdy wносił coś od siebie. W skutecznym zarządzaniu najważniejsze według mnie jest wyciąganie wszystkiego, co najlepsze od każdej jednostki i manewrowanie tym na co dzień.

Coraz więcej w naszym kraju influencerów kulinarnych, rozwija się turystyka kulinarna. Gonimy Europę. Jak postrzegasz wpływ tych zjawisk na kulturę jedzenia poza domem?

Jakub Linka: Nie mam zdania. Nie chciałbym kogokolwiek urazić, ale raczej nie uznaję wzorców w tej przestrzeni. Fajnie, że są ludzie, którzy pomagają poznać ciekawe, niszowe miejsca, ale też często pojawiają się opinie krzywdzące dla szefów. Ktoś, kto nigdy nie poznał realiów kuchni, wyskakuje z jakąś opinią niepopartą żadną wiedzą, doświadczeniem, kompetencją i obraża kogoś, kto pół życia spędził nad tym, żeby wykształtować określoną technikę.

Paweł Zasławski: Cieszę się, że to wszystko nabiera tempa i rzeczywiście tempo wzrostu jest imponujące. Podejrzewam, że gdyby nie pandemia mielibyśmy w Polsce istne kulinarne eldorado. Przyglądałem się temu z perspektywy wydawki (w restauracji, którą prowadziłem, mieliśmy kuchnię otwartą), lokal był większość dni tygodnia pełny, ludzie jedli, pili i bawili się bez ograniczeń.

Z uwagi na rosnące regularnie koszty stałe i ceny produktów, naturalnie też wzrastają ceny dań w restauracjach. Badania pokazują, że z roku na rok spada wśród Polaków częstotliwość wyjść do restauracji. Nie boisz się, że jak tak dalej pójdzie, nie będzie dla kogo gotować, bo ludzi nie będzie stać na jedzenie poza domem?

Artur Skotarczyk: Jest to pytanie, na które trudno odpowiedzieć. To prawda koszty rosną i żyjemy w dziwnych czasach napięć geopolitycznych i trudno stwierdzić, co nas jeszcze może czekać. Przeżyliśmy już pandemię i było trzeba się dostosować do sytuacji. Na szczęście goście są i będą szukać tego typu doznań kulinarnych. Jedno jest pewne – trzeba być optymistą i pozytywnie patrzeć w przyszłość, inaczej będzie trzeba znów się dostosować...

Paweł Zasławski: Zupełnie się o to nie martwię, co więcej bardzo się z tego cieszę. Taka sytuacja jest korzystna, ponieważ dojdzie do polaryzacji i będą miejsca dobre i bardzo dobre, albo przeciętne. Zniknie ten cały patologiczny środek, gdzie konsument wydaje pieniądze, ale jest zwyczajnie oszukiwany kiepską jakością produktu i niską jakością usług.

Zatem jak jednym zdaniem opisałbyś aktualny stan gastronomii w Polsce i gdzie Twoim zdaniem będziemy za trzy lata?

Orson Hejnowicz: Skrajnie, bo na równi z kuchnią stoi rozpoznawalność w social mediach. Możesz gotować świetne rzeczy, ale to sposób komunikacji na platformach w tym momencie weryfikuje czy ludzie spróbują twoich dań i czy osiągniesz sukces.

Szymon Sierant: Poziom gastronomii w Polsce jest wysoki. Obserwuję to na przestrzeni ostatnich 7 lat, odkąd wróciłem zza granicy, doskonałym dowodem na to jest fakt, że w Polsce od 3 lat posiadamy własną edycję przewodnika Michelin, w którym na ten moment znajduje się 5 regionów i aż 108 restauracji, co już jest dużym osiągnięciem nawet na skalę światową.

Ostatnie pytanie, tytułem podsumowania. Powiedz proszę, co sprawia, że na koniec dnia czujesz się spełniony jako szef kuchni, możesz spojrzeć w lustro, poklepać się po ramieniu i powiedzieć sobie „good job!”?



Orson Hejnowicz – szef kuchni, postać telewizyjna, twórca projektów kulinarnych, kurator „pop2up” w Starym Browarze

Jakub Linka: Oj, wzorowy serwis. Taki, że wyprzedzasz o 30 sekund rękę kelnera na wydawce, nie masz smugi na talerzu i gdy kelner kładzie ostatni talerz na stole, to ty zaczynasz opowiadać gościom swoją historię przedstawioną na talerzu. Miałem kilka takich serwisów, to daje ogromną satysfakcję.

Artur Skotarczyk: Oczywiście czerwona tabliczka z gwiazdką Michelin, która wisi na fasadzie restauracji. Ponadto uśmiech zadowolonych gości i odpowiednio zmotywowana załoga.

Koniecznie już teraz zajrzyjcie do pełnej wersji wywiadu, skanując kod QR poniżej i sami zobaczcie, jak maluje się obraz polskiej gastronomii, widziany oczyma znanych i wpływowych szefów kuchni.





BAJZEL na każde kulinarne podniebienie

Marzy Ci się śniadaniowa uczta z przyjaciółmi, która rozbudzi wasze zmysły? A może szukasz miejsca, gdzie chciałbyś po prostu zaszyć się z laptopem i postukać w klawiaturę przy filiżance czarnego płynu z pysznym ciachem? I tu pojawia się BAJZEL. Odpowiedź na wszelkie gastronomiczne wymagania.

Są miejsca, szczególnie na kulinarnej mapie Poznania, gdzie po prostu chce się wracać. Nie wystarczy tylko dobre jedzenie, czy kilka modnych aktualnie dodatków. Tutaj trzeba czegoś więcej. Tutaj trzeba ludzi, którzy od samego poranka rozpalają kuchnię, by dogodzić nawet najbardziej wybrednym krytykom kulinarnym.

Bajgiel i błogość na każde dzień dobry

Do BAJZLU wchodzisz i od razu czujesz, że dobrze trafiłeś. Wszystko przez ciepłe światło, ceglane ściany, rośliny w kątach i jakieś ilustracje, które ani trochę nie są z sieciówki. No i ten zapach. Aromatyczna kawa. Czujesz z kuchni, że piecze się coś chrupiącego z grilla. Jeszcze nie zdążyłeś usiąść, a już jesteś głodny.

A wszystko przez niego. Waldek – to on, właściciel. Kucharz z duszą i wyczuciem. Zrobił tu miejsce, w którym śniadanie jest czymś więcej niż posiłkiem. To rytuał. Bajgle, gofry, jaja w każdej postaci – bo grunt to dać się ponieść kulinarnej fantazji. Oczywiście przy zachowaniu wybitnego smaku.

Daj się ponieść bajzlowemu śniadaniu

Bajzel Supreme z pomidorową konfiturą, boczkiem i jajkiem sadzonym to klasyk. Holender z czarnymi goframi, szpinakiem i chipsem z boczku? No właśnie – tego smaku nie da się zapomnieć. Do tego obowiązkowo świeżo zmielona, aromatyczna kawa. I już myślisz, że może jednak ta zdalna praca nie jest taka zła.

Bez obaw. Obsługa nie popędza, nie zawraca głowy – możesz siedzieć godzinami i dokończyć każdy projekt. Byle tylko zamówić coś od serca. Bo Waldek i cała bajzlowa ekipa przykładają się do każdego talerza, jakby to miała być okładka magazynu kulinarnego.

BAJZEL jest dla ludzi. I czworonogów.

BAJZEL to jedno z tych miejsc, które nie próbują na siłę być modne. Ale są. Nie przez design (choć ten również jest), tylko



przez atmosferę. Ludzie przy laptopach to tutaj norma. Pies pod stołem? Z chęcią i nim się zajmimy.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do jedzenia. Poza starannie wyselekcjonowaną, stałą kartą znajdziesz tutaj również cenne skarby, które rzadziej pojawiają się na gastronomicznym rynku. Mowa oczywiście o sezonowych niespodziankach. Jesienią na pewno nie zabraknie dyni i przyprawy, a latem pojawi się orzeźwiająca dawka lemoniady. Co z resztą? Daj nam zostawić coś na niespodziankę!

Można więc powiedzieć, że każdy, niezależnie od tego, czy zajadasz się o brzasku, czy bardziej bliżej południa, znajdzie coś dla siebie. I nieważne, czy wpadniesz sam, z przyjacielem, czy z jamnikiem – każdy kto przekroczy próg BAJZLU, poczuje się że trafił w odpowiednie miejsce.

Śniadaniowy łań w BAJZLU

Gdybyś szukał definicji śniadaniowni idealnej – spokojnej, z dobrym jedzeniem, sympatyczną obsługą i naturalnym, niewymuszonym klimatem – to Bajzel ją spełnia. Coś, co miało być prostym śniadaniem, nagle staje się poranną ceremonią. I chcesz to jak najszybciej powtórzyć.

Zapisz to miejsce, jako te, które warto odwiedzić i sprawdź, czy przypadkiem nieco nas nie poniosło. Bo przecież nie musisz wierzyć nam na słowo. Najlepiej przekonaj się sam.

Wpadnij. Poczuj. Posmakuj BAJZLU.
www.instagram.com/bajzel.poznan

JESTEŚMY SILNE, BO ROBIMY SWOJE



Ilustracja: Marta Frej

Kobiety mają siłę!

Poznańska Fundacja Czas Kobiet w walce o godność i bezpieczeństwo każdej z nas

Tekst: Natalia Bednarz

W świecie, gdzie równość płci pozostaje jedynie złudzeniem, a przemoc wobec kobiet to bolesna codzienność, potrzeba działań, które stawia temu opór. Szczęśliwie jest w Poznaniu przestrzeń, w której można odczarować tę smutną rzeczywistość. Poznajcie Fundację Czas Kobiet, która od 2022 roku buduje świat wolny od dyskryminacji i przemocy.

Komu pomaga Fundacja? Dane z lat 2023 – 2025 pokazują, że 52,3% klientek to mieszkanki Poznania, a 47,7% z innych regionów Polski i zagranicy. Najwięcej klientek (36,5%) to kobiety w wieku 36–45 lat. Zgłaszane formy przemocy są różnorodne: psychiczna (83%), fizyczna (43,9%), ekonomiczna (30,1%), seksualna (17,8%) i cyberprzemoc (14,4%). W 75,3% przypadków sprawcami są obecni lub byli partnerzy.

„Przemoc wobec kobiet to złożony problem, który wciąż dotyka tysięcy Polek. To zjawisko egalitarne. Zgłaszają się do nas kobiety w każdym wieku, o różnym wykształceniu, doświadczeniu życiowym i statusie materialnym. Nasze statystyki pokazują, jak pilnie potrzebne jest kompleksowe i dostępne wsparcie na ogólnokrajową skalę.” – podkreśla Joanna Szymyślik, współpracowniczka Fundacji.

Psycholożki na dyżurze

Sercem Fundacji jest codzienny, siedmiogodzinny dyżur informacyjno-interwencyjny, dostępny stacjonarnie i telefo-

nicznie. To tu nawiązywana jest pierwsza relacja z klientką i dokonywana wstępna ocena jej sytuacji. Kolejnym etapem są indywidualne konsultacje z wykwalifikowanymi psycholożkami i innymi specjalistkami, by rozpoznać sytuację przemocy, potrzeby klientki i nakreślić spersonalizowany plan działania. Kompleksowe konsultacje psychologiczne i psychoterapeutyczne mogą trwać nawet trzy miesiące.

„Wiele naszych klientek to tutaj po raz pierwszy opowiada o swoich trudnych doświadczeniach. Udało nam się stworzyć przestrzeń, w której kobiety mogą sięgnąć po wsparcie w atmosferze zaufania i bez lęku przed oceną” – podkreśla Szymyślik.

Pierwsze w Polsce konsultacje z zakresu cyberbezpieczeństwa

Fundacja Czas Kobiet – jako pierwsza w Polsce – wprowadziła innowacyjne i ogólnodostępne konsultacje z zakresu cyberbezpieczeństwa. Ich celem jest zrozumienie mechanizmów naru-



fot. archiwum fundacji

szania prywatności w sieci, a także wiedza w zakresie zabezpieczania urządzeń i kont online.

„Rozwój technologii umożliwił kontrolowanie i nękanie na zupełnie inną skalę, również w związkach intymnych. Dotknięte tym osoby czują się jak w „cyfrowej klatce”. Prawo nie nadąża za tym rozwojem, dlatego ściganie i karanie sprawców cyberprzemocy jest utrudnione. W tej sytuacji edukacja i wiedza, jak się ochronić, odciąć cyfrowo oraz pomóc w ściganiu sprawcy, jest szczególnie ważna” – mówi Leszek Tasiemski specjalista ds. cyberbezpieczeństwa i wolontariusz Fundacji

Szkolenia, rzecznictwo i... sztuka

Działalność Fundacji obejmuje także szerokie działania edukacyjne i kulturalne, takie jak program Galerii Czas Kobiet, prezentujący prace artystek poruszających ważne tematy społeczne. Fundacja aktywnie uczestniczy w życiu publicznym, m.in. w kampanii „Jesteśmy silne, bo robimy swoje” i Kongresie Kobiet. Prezeska Fundacji, Anna Świątkowska-Gałkiewicz, brała udział w panelach dyskusyjnych z Ministrami do spraw równości, co potwierdza ekspercki charakter Fundacji.

Codziennosc Fundacji to również szkolenia i warsztaty na temat równości płci, praw kobiet, przeciwdziałania dyskryminacji, świadomej zgody (konsentu), mobbingu czy komunikacji bez przemocy. Fundacja jest aktywnym podmiotem w działalności rzeczniczej, dążąc do zmian w systemie prawnym i poprawy ochrony praw kobiet. Postuluje stworzenie zintegrowanego systemu pomocy dla kobiet doświadczających przemocy seksualnej i zapewnienie stałego finansowania małym organizmom pozarządowym.

Ambitne plany na przyszłość

Do maja 2025 roku Fundacja przyjęła ponad 500 klientek, udzielając ponad 4200 godzin indywidualnych konsultacji. Jednym z najważniejszych planów jest uruchomienie ogólnopolskiej, całodobowej infolinii „Bezpieczna Linia” dla kobiet i dziewcząt doświadczających przemocy seksualnej, finansowanej przez Ambasadę Francji. Projekt „milczeNIE” ma przeobrazić ciszę wokół tego tematu. Fundacja czerpie z doświadczeń paryskiego Collectif Féministe Contre le Viol, co gwarantuje wysoki standard pomocy.

Fundacje takie, jak CZAS KOBIEC, to nierzadko jedyne światło w tunelu dla kobiet doświadczających przemocy, nadzieja na to, że będzie lepiej. Choć jest nadal wiele do zrobienia, Fundacja mówi głośno: to jest nasz czas – Czas Kobiet.



Jeśli doświadczasz przemocy, potrzebujesz wsparcia prawnego lub psychologicznego – nie czekaj! Dyżur telefoniczny Fundacji Czas Kobiet dostępny jest od poniedziałku do piątku w godzinach 10–17. Zadzwoń pod numer +48 577 998 112, by umówić się na rozmowę ze specjalistką pierwszego kontaktu, lub odwiedź fundację w Poznaniu przy al. Marcinkowskiego 24. Nie jesteś sama!

Jesień brzmi jazzem

W BLUE NOTE



Brekky Boy

7 WRZEŚNIA



Moses Yoofee Trio

NOWI MISTRZOWIE

18 WRZEŚNIA



Marta Wajdzik Experiment

NOWE MISTRZYNIE

2 PAŹDZIERNIKA



Michael Mayo

7 PAŹDZIERNIKA



Brandee Younger

9 PAŹDZIERNIKA



Trio Grande

7 LISTOPADA

W jesiennym programie także m.in.:

JOEY ALEXANDER · BLUE JAZZ ORCHESTRA · REUBEN JAMES
GRAŻYNA ŁOBASZEWSKA & ADAM NOWAK · DONNY MCCASLIN
ALFREDO RODRIQUEZ TRIO · STANISŁAW SOYKA & BUBA BADJIE KUYATEH
TAKUYA KURODA · GRZEGORZ TURNAU & ATOM STRING QUARTET

WWW.BLUENOTE.PL
FB / IG @BLUENOTEPOZNAN
UL. KOŚCIUSZKI 79, POZNAŃ

POZnań*

PROJEKT DOFINANSOWANY Z BUDŻETU
MIASTA POZNANIA #POZNANWSPIERA



fot. archiwum Pan Przygoda

Tatuaże, węże i wielkie serce

Pan Przygoda

Rozmawiała: Zofia Myślicka

W czasach, gdy kontakt z naturą bywa wypierany przez ekran smartfona, pojawia się ktoś, kto potrafi na chwilę zatrzymać pędzący świat. Szymon Michalak, znany jako Pan Przygoda – podróżnik, edukator i ratownik dzikich zwierząt – to postać, która łączy wiedzę z emocją, a naukę z autentyczną pasją. Jego misja jest prosta, a zarazem niezwykle istotna: przypominać ludziom, że bez przyrody nie będzie nas. Rozmawiamy z nim o początkach pasji, podróżach i codziennych trudnościach w pracy z dzikimi zwierzętami.

Jak zaczęła się Twoja przygoda ze zwierzętami?

Jak większość dzieci, od najmłodszych lat interesowałem się przyrodą. Pamiętam, że dostałem od chrzestnej książkę o zwierzętach, potem kolejną i kolejną – i tak się zaczęło. Duże znaczenie miał też czas spędzony z rodzicami na wędrówkach i pobyty z dziadkiem na działce. Od zawsze fascynowało mnie tropienie i obserwowanie zwierząt.

Skąd wzięła się pasja do ratowania dzikich zwierząt?

Myślę, że u mnie wszystko zaczęło się od pasji do przyrody. Potem doszła do tego potrzeba zrobienia czegoś dobrego – taka chęć dołożenia swojej cegiełki do walki o ochronę dzikich zwierząt. Uważam, że to bardzo ważne, i staram się pomagać, gdy tylko mam na to przestrzeń. Wydaje mi się też, że ta potrzeba bliskości z naturą i chęć pomocy tkwi w większości z nas, tylko bywa trochę zakurzona, zapomniana.

Pamiętasz swoje pierwsze spotkanie z egzotycznym zwierzęciem?

Pewnie miało to miejsce w ZOO, ale najlepiej zapamiętałem wizytę w sklepie zoologicznym prowadzonego przez kuzynkę. Wtedy pierwszy raz trzymałem w rękach węża – totalnie mnie to zafascynowało. W podstawówce zacząłem odwiedzać sklepy zoologiczne regularnie, miałem wręcz swoją stałą trasę i co kilka dni robiłem „obchód”. (śmiech)

Często odwiedzasz zagraniczne ośrodki rehabilitacyjne. Jak wygląda dzień w takim miejscu? Jest jakiś przypadek, który szczególnie zapadł Ci w pamięć?

Wszystko zależy od tego, czym zajmuje się konkretny ośrodek. Dla wolontariusza takiego jak ja to zazwyczaj głównie sprzątanie i karmienie zwierząt – tego jest zawsze najwięcej, i myślę, że właśnie to zniechęca wiele osób. W Gwatemali, w ośrodku Arcas, obserwowałem pracę m.in. z żółtami morskimi – patrolowaliśmy plaże, oznaczaliśmy gniazda, prowadziliśmy edukację lokalnej społeczności. Ich druga placówka przypominała wiejskie zoo – dużo zwierząt, trudne warunki, mało ludzi – ale wykonywali tam naprawdę wspaniałą pracę,



fot. archiwum Pan Przygoda

ratując zwierzęta z przemytu. Proces był rozbudowany: najpierw przyjmowano transport, oceniano stan zdrowia zwierząt, rozpisywano leczenie, obserwowano, a na koniec decydowano, czy zwierzę może wrócić na wolność. Wolontariusze z doświadczeniem weterynaryjnym pracowali w ambulatorium, inni tworzyli zabawki, jeszcze inni zajmowali się transportem.

Najtrudniejszym emocjonalnie przypadkiem był osioł z centrum rehabilitacji na Korfu. Był stary i bardzo chory. To doświadczenie uświadomiło mi, jak trudna jest strona emocjonalna prowadzenia takiego miejsca – szczególnie w kontekście decyzji o eutanazji.

Co najbardziej zaskoczyło Cię w pracy z dzikimi zwierzętami na innych kontynentach?

To, jakie zwierzęta ludzie potrafią trzymać w domach. W RPA spotkałem kapucynkę – małpkę, która pochodzi z Ameryki Południowej, więc nie mogła zostać wypuszczona na wolność. Ktoś założył jej kolczyki i zrobił tatuaże. Widać było, że nienawidzi ludzi – rzucała się na każdego, kto tylko zbliżył się do jej wybiegu.



Która wyprawa najbardziej zmieniła Twoje spojrzenie na świat?

Zdecydowanie Filipiny. Pobyt tam otworzył mi oczy na to, co dzieje się pod wodą. To uczucie nie do opisania – człowiek nagle odkrywa nowy wymiar istnienia, który przypomina kosmos. Przebywanie pod wodą daje poczucie niewyobrażalnego szczęścia.

Pracujesz z dziećmi – co najbardziej zapada im w pamięć z Twoich zajęć?

Z tego, co mówią wychowawcy – bardzo dużo. Postać Pana Przygody jest dla nich czymś wyjątkowym: tatuaże, filmy, zwierzęta, uważność. Cenią to, że ktoś ich słucha i traktuje serio. Dla mnie najbardziej satysfakcjonujące jest to, jak wiele z tych spotkań zapamiętują – szczególnie emocje: ekscytację, wzruszenie. Tak właśnie buduję swoje zajęcia – wokół emocji. Jeśli pokochają węża Mariuszka, a potem dowiedzą się, że jest zagrożony wyginięciem – to naprawdę ich porusza. Przy okazji przemycam też treści lifestyleowe: jak dbać o relacje, że pieniądze to nie wszystko itd.

Czy kontakt ze zwierzętami sprzyja rozwojowi dzieci?

Zdecydowanie. Istnieje wiele form terapii z udziałem zwierząt – dogoterapia, hipoterapia... Dzieci najlepiej się rozwijają,

gdy mają realny kontakt z naturą. Teoretyczna wiedza nie zapada im w pamięć, szczególnie dziś, w świecie nadmiaru bodźców.

Z jakimi mitami na temat zwierząt najczęściej się spotykasz?

Najczęstsze przekłamania pochodzą z bajek i filmów. Od małego uczymy się, że wąż to zło – podstępny, szatański symbol. Dlatego dzieci często boją się ich już z definicji. Ale gdy zaczynamy rozmawiać i obalać mity, okazuje się, że wiele z nich jest w stanie się otworzyć – a nawet zainteresować się tymi zwierzętami.

Jak Twoja działalność wpływa na ochronę przyrody?

Po spotkaniach dzieci często pamiętają konkretne miejsca, zwierzęta i historie. Później rozmawiają o tym z rodzicami, przestają kupować niepotrzebne rzeczy, bo „Pan Przygoda mówił, że nie wszystko trzeba mieć”. Przyroda jest tu punktem wyjścia – furtką do szerszej rozmowy o świecie, konsumpcji, relacjach. Zainteresowanie to pierwszy krok do ochrony.

Masz w planach kolejne kraje albo nowe gatunki Zwjeżaków?

Kraje – tak, planuję dalsze wyprawy. Co do Zwjeżaków – raczej zakończę tę działalność. Czuję wypalenie, straciłem wiarę w edukacyjną skuteczność tych spotkań. Może wrócę do tego w innej formie, ale obecnie mam też moralny dylemat – nie chcę wykorzystywać zwierząt do celów edukacyjnych, jeśli czuję, że dzieje się to ich kosztem.

Gdzie widzisz siebie jako Pana Przygoda za pięć lat?

Chciałbym skupić się na wyprawach i realizacji programu przyrodniczego – to połączenie pasji, podróży i edukacji byłoby dla mnie spełnieniem marzeń.

To, co robisz, jest wyjątkowe i pełne sensu. Prowadzisz prawdziwą misję. Co według Ciebie jest w niej najważniejsze?

Zwracanie uwagi na to, jak bardzo oddaliliśmy się od natury. Często zapominamy, że bez niej nie ma nas. Jesteśmy przebodźcowani, zmęczeni, a życie gdzieś nam ucieka. Moim celem jest przypomnienie, że warto się zatrzymać, spojrzeć wokół, poczuć – i zadbać o świat, który nas stworzył.

www.teatrnowy.pl

JESIEŃ W NOWYM



TEATR NOWY
IM. IZABELLI CYWIŃSKIEJ
W POZNANIU



WIELKOPOLSKA



INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

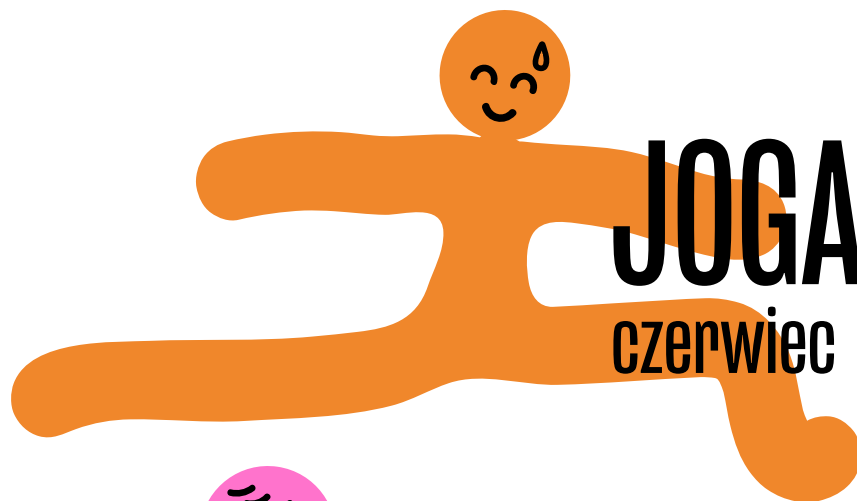
VOLVO

FIRMA KARLIK

- ▶ 4 PREMIERY
- ▶ 28. FESTIWAL
PAMIĘTAJMY
O OSIECKIEJ
- ▶ WARSZTATY,
DZIAŁANIA
EDUKACYJNE,
WYDARZENIA
GOŚCINNE
- ▶ SPRAWDŹ
JUŻ DZIŚ,
CO ROBISZ
TEJ JESIENI

STARY BROWAR W RUCHU

POWERED BY XTREME FITNESS GYMS



CZWARTKI GODZ. 17:30
W PARKU STAREGO BROWARU
PADA? SPRAWDŹ AKTUALNE INFO NA EVENCIE FB
WSTĘP WOLNY



**STARY
BROWAR**